

Przed Pełną 1851

Gazeta Sremska

3-4/2018
ISSN 1231-7478
dwumiesięcznik
marzec/kwiecień
rok XXVIII
cena 5 zł





Z okazji Świąt Wielkanocnych
Drogim Mieszkańcom gminy Śrem
życzymy wiele radości, ciepła, miłości i wzajemnej życzliwości.
Niech ten czas będzie niezwykłym głębokim przeżyciem,
które owocować będzie spokojem, nadzieją, szczęściem
oraz wytrwałością w osiąganiu wytyczonych celów
w codziennym życiu.

Katarzyna Sarnowska
Przewodnicząca
Rady Miejskiej w Śremie

Adam Lewandowski
Burmistrz Śremu



dr Seweryn Matuszewski

Z cyklu *W stulecie powstania wielkopolskiego* przedstawiamy sylwetkę jednej z kluczowych postaci polskiej konspiracji w Śremie, człowieka, który niebagatelnie przyczynił się do naszego zwycięstwa.

str. 3



Wielkanocne maskary w Wielkopolsce

Artykuł z 1948 r. autorstwa Jana Horowskiego, nauczyciela śremskiego Gimnazjum, filologa klasycznego w wykształceniu i badacza folkloru z pasji, dotąd niepublikowany, z oryginalnymi fotografiami autora.

str. 12



Pasjonaci są wśród nas

Urszula Ciesielska przedstawia Stanisława Wiśniewskiego z Czempinia – kolekcjonera historycznych pamiątek, pasjonata muzyki.

str. 46

Spis treści

str. 02 444 słowa redaktora naczelnego
str. 03 Seweryn Matuszewski
str. 05 Nie samym chlebem: Z niewielką
pomocą Niemców
str. 08 Jak ks. Ludwiczak chwalekowiaków na
powstanie posłał
str. 12 Wielkanocne maskary w Wielkopolsce
str. 15 Nina Szmyt *W Kępie Małej*
str. 16 „Maciuś”. Historia sentymalna. Cz. 2
str. 20 Nasza Renia – wspomnienie
str. 22 Jestem, więc pytam: Nasi „winowajcy”
str. 25 Zapiski z letnich podróży. Podlasie. Cz. 2
str. 27
str. 28 Warto przypomnieć: Noc jest z milczenia
str. 30 Adam Mrozek: Niebezpieczna opowieść
str. 32 Zło bez końca

str. 34 Amor omnia vincit...
str. 36 Ludzie, których spotkałem: Hanna
Bednarczyk-Janowska
str. 38 Kino niewidzialne: *Tamte dni, tamte noce*
str. 40 Z górnej półki: Wojna i pokój
Chimamandy Ngozi Adichie
str. 42 Nasz Talent: Noemi Pawlak
str. 44 Kwestionariusz kultury: Zdzisław
Żeleźny
str. 46 Pasjonaci są wśród nas
str. 49 Dwa oblicza ilustracji
str. 51 Wieści z ratusza
str. 54 Muzeum – wydarzenia
str. 56 ŚOK – wydarzenia
str. 58 Biblioteka – wydarzenia

444 słowa redaktora naczelnego

W ubiegłym roku rozpoczęła się wielka przebudowa domu należącego do PSS Społem przy zbiegu ulic Kościuszki i Młyńskiej w Śremie. W samej inwestycji nie ma nic sensacyjnego, bo lokalne przedsiębiorstwo handlowo-usługowe przyzwyczało śremską społeczność do niesza-blonowych inicjatyw inwestycyjnych. Kolejne, ambitne przedsięwzięcie budowlano-biznesowe zmierzające do poszerzenia oferty. Okazuje się, że nie tylko. Żeby coś radykalnie odmienić i nadać mu nową jakość trzeba zastosować pierwiastek kontrolowanej destrukcji. Rozwółka, ale bez emocjonalnego balastu. I co dalej? Dalej to już sensacyjne odkrycie... w wyniku demontażu wewnętrznych elementów budowlanych odkryto zamurowaną butelkę z tajemniczą zawartością. Owszem była w niej niewielka ilość cieczy, ale prawdziwą moc przyniosła treść zrolowanego dokumentu, pisanego ręcznie atramentem.

Przyjemnie jest wiedzieć, gdy inni nie wiedzą. Ale cóż warta jest informacja, jeśli nie przekazujesz jej dalej? No właśnie. Nie każda wiadomość przeznaczona jest do natychmiastowego kolportowania. Czasami czeka, czeka, aż trafia się przypadkowy odkrywca i zaczyna się jej nowe życie. Okoliczności przypominają sytuację rozbitka na bezkresnym oceanie, który ma tak wiele do powiedzenia, ale tak niewielką szansę na spotkanie słuchacza. Mimo wszystko, pełen nadziei rozbitek kieruje swój list w nieznaną. O czym myśli, co chce przekazać? Jak widzi adresata tej niecodziennej przesyłki?

List zadatowano precyzyjnie na 20 maja 1902 roku. W Wielkopolsce intensywnie działa wówczas nacjonalistyczna niemiecka organizacja popularnie przez Polaków zwana HaKaTą. Według jej ideologii Polacy i Niemcy skazani są na bezwzględną konkurencję na wszystkich polach,

a Polacy są elementem w państwie niemieckim bardzo niepożądanym. W tym klimacie wyrastał coraz większy mur niechęci między polską i niemiecką ludnością Śremu. Niechęć i wrogość obu nacji znajduje odzwierciedlenie w treści listu. Autor wskazuje, że miliony marek przeznaczone na zgębienie narodu polskiego „...na pohybel niemczyźnie wyjdą, bo Polacy tak jak już przed wiekami żyli, tak i nadal istnieć będą...”. Przekonanie to wynika z jednoczącej Polaków świadomości pracy organicznej obejmującej wszystkie dziedziny życia społecznego. „I tak jedna z całego ogniska narodu polskiego mała cząsteczka, miasto Śrem walczy o swój byt narodowy i finansowy. Mamy tu bank polski ludowy, który finansowo podpira naszych gospodarzy i naszych rzemieślników i kupców...”. Piszący te słowa wierzy w Polskę i skuteczność zmagania się z przeciwnikiem i przeciwnościami nie z bronią w rękę, ale orężem jaki stanowi wytrwała praca i propaństwowe myślenie. Nadzieję pokłada w konkretnych osobach wymienionych z nazwiska i wyraża uznanie dla ich poczynań „...składamy te kilka słów do spoczynku w ziemię, aby nasi następcy, kiedyś wydobywszy to pismo czcili i pamiętali swych przodków”.

List z butelki jest świadectwem marzenia i pracy ku wolności Ojczyzny, znakomitą inspiracją do artystycznego działania na rzecz obchodów 100. rocznicy odzyskania niepodległości Polski. PSS Społem w Śremie i Muzeum Śremskie wspólnie dążą do zachowania, precyzyjnego odczytania i należytego wyeksponowania tego unikatowego obiektu historycznego. Cdn.

Mariusz KONDZIELA

Seweryn Matuszewski

W stulecie powstania wielkopolskiego



Doktor Seweryn Matuszewski sprowadził się do Śremu w 1905 roku. Był już dyplomowanym lekarzem i miał za sobą służbę obowiązkową w niemieckiej armii, skróconą ze względu na stan zdrowia.

Urodził się 11 września 1879 roku w Śmiglu jako syn Michała i Anny z d. Cichowicz. Pan Adam Podsiadły podaje, że Michał był kupcem, natomiast pani dr Danuta Płygawko, że krawcem. Być może obie wersje są poprawne, gdyż w tamtych czasach nie było rzadkością, że rzemieślnik prowadził także sklep. Rodzicom musiało się dobrze powodzić, bo dwaj synowie otrzymali porządne wykształcenie. Brat doktora, Marceli był księdzem, proboszczem parafii Błociszewo. Wśród wielu anegdot o duchach nawiedzających błociszewski pałac jest i ta, jak kredensiarz Michałek ujrzał ducha przedwcześnie zmarłego proboszcza, który przyszedł do jego pokoju i usiadł na łóżku. Doktor miał także trzy siostry, o których nic nie wiemy.

W każdym razie, jako 26-letni młody człowiek osiedlił się w Śremie i tu podjął praktykę lekarską w specjalizacji chorób wewnętrznych i nerwowych. Musiał odebrać nie tylko staranne wykształcenie – Gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu oraz studia w Monachium i w Lipsku – ale też patriotyczne wychowanie i nawyk pracy organicznej, bowiem w Śremie od razu rzucił się w społecznikowski wir pracy. Już w 1907 roku był wiceprezesem Towarzystwa Przemysłowego, w 1911 członkiem Rady Miejskiej, w 1912 kandydował do niemieckiego parlamentu i równocześnie stał na czele okręgowego gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” na powiat kościański i śmigieński, w 1914 był w zarządzie śremskiego Banku Ludowego.

Tymczasem wybuchła pierwsza wojna światowa i jako lekarz rezerwista armii niemieckiej podlegał mobilizacji. Szczęściem nie otrzymał frontowego przydziału. Najpierw, w 1915 roku był ordynatorem szpitala wojskowego w Rogoźnie, a już rok później wrócił do Śremu jako lekarz sztabowy batalionu zapasowego 47 Pułku Piechoty. Dzięki temu miał dobre rozeznanie w śremskim garnizonie, co wybitnie się przydało pod koniec 1918 roku, gdy w Niemczech wybuchła rewolucja, a w Wielkopolsce ruszyły pełną parą tajne przygotowania do zbrojnego zrywu. Jak wynika z kilku relacji, może i doktor nie był powszechnie lubiany, jednak przed jego autorytetem ustępował każdy – Polak i Niemiec i to mimo że „uważano mnie [Daniela Kęszyckiego] razem z Matuszewskim słusznie lub niesłusznie jako jednych z najzażartszych Polaków niemcożerców”. Był konspiratorem niezwykle skutecznym, o czym piszemy w następnym artykule. Tu poprzestańmy na stwierdzeniu, że jego udział w sukcesie powstania wielkopolskiego w powiecie śremskim był kluczowy. Musiał mieć w sobie coś z szarej eminencji, bowiem po przejęciu władzy przez Polaków nie objął żadnego publicznego stanowiska. Niezdolny do służby na froncie, kierował z ramienia Powiatowej Komendy Uzupełnień poborem rekrutów w powiatach jarocińskim i śremskim. Był też lekarzem z batalionu zapasowym 11 Pułku Strzelców Wlkp. w Śremie.

Po zakończeniu działań wojennych w 1921 roku został bezterminowo urlopowany z wojska w stopniu kapitana. Nadal prowadził swoją praktykę i działał społecznie. Od 1924 roku przez kilka kadencji był przewodniczącym Rady Miejskiej w Śremie, członkiem Rady Powiatowej i Sejmiku Wojewódzkiego. W 1932 roku kandydował nawet na wiceprzewodniczącego Sejmiku, jednak – jak relacjonuje dziennikarz – BB miał za małe poparcie. Najprawdopodobniej chodziło o BBWR – Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Kontynuował też swoje zarządzanie Bankiem Ludowym. W 1934 roku gazety poznańskie donosiły o jego podwójnym jubileuszu: 30-lecia praktyki w zawodzie lekarskim i 20-lecia pracy w śremskim Banku Ludowym. Działał w Narodowej Partii Robotników i Towarzystwie Robotników Chrześcijańskich, co brzmi zagadkowo tylko na pierwszy rzut oka. NRP nie była forma-

cją marksistowską, więc sprzeczności nie ma, choć odkrywa – ujmijmy to delikatnie – mocno demokratyczne skłonności doktora. Należał też do Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie był skarbnikiem Wydziału Lekarskiego. W przedwojennej prasie znajdujemy też wzmiankę, że zainwestował w jakąś nowo powstającą gazetę, ale bez dalszych szczegółów. To może oznaczać, że był człowiekiem zamożnym. W zamian leczył za darmo i wspomagał rodziny osób bezrobotnych.

Dla Niemców był wrogiem publicznym, jeśli nie nr 1, to w czołówce. Gdy wrócili tu po dwudziestu latach dokonali zemsty. Doktor Matuszewski został rozstrzelany w publicznej egzekucji na śremskim rynku, wraz z innymi „wrogami III Rzeszy”, 20 października 1939 roku. Niemcy pamiętali. Tym bardziej my musimy pamiętać.

Na podstawie hasła Adama Podsiadłego w SBŚ, wykładu dr Danuty Płygawko w MŚ oraz dawnej prasy opracowała Katarzyna GWINCIŃSKA

Karykatura w "Wiadomościach Śremskich" z 1929 roku. Wycinek prasowy ze zbiorów MŚ



Z niewielką pomocą Niemców

Nie samym chlebem

Przypadki, owszem, się zdarzają, rzadko jednak bywają przyczyną spektakularnego zwycięstwa. Jeszcze w połowie XIX wieku Zygmunt Krasiński prosił o cud: „z polską szlachtą polski lud”. Wielkopolanie byli takiego cudu sprawcami. Po klęsce zrywu zbrojnego w 1848 roku – a już wówczas dość rewolucyjnie ramię w ramię walczyli chłopci, mieszczenie i szlachta – Poznańczycy pojęli, że do wygrania wojny trzeba być przygotowanym gospodarczo i organizacyjnie. Zakasaliśmy rękawy i wbrew niemieckiej polityce zaczęliśmy doganiać Zachód. Rozwijaliśmy przemysł i rolnictwo. Zorganizowaliśmy własne systemy finansowania i kształcenia zawodowego. Ziemianie nie balowali na salonach, tylko uczyli się wydajności i przekazywali wiedzę swoim pracownikom. Patrioci wzięli się do krzewienia polskości w najdalszych zakamarkach. Wydawano niezliczone broszury, gazety, kalendarze i książki w języku polskim dla wszystkich stanów. Organizowano się w niezliczone koła i towarzystwa. Wszystkiemu przyświecał jeden cel: gdy nadarzy się kolejna okazja, będziemy w 100% gotowi.

Paradoksalnie, olbrzymią pomoc otrzymaliśmy od niemieckiego zaborcy. Na przełomie XIX i XX wieku powstał system obowiązkowych szkół powszechnych, co skutecznie zlikwidowało analfabetyzm i nauczyło wszystkich „języka wroga”. Każdy mężczyzna osiągnąwszy wiek 18 lat podlegał poborowi i dwuletniej służbie zasadniczej w znakomitej niemieckiej armii. Ich wojskowe wykształcenie i dyscyplina, a także późniejsze frontowe obycie niezwykle nam się przydały.

Zupełnie niechronologicznie, ale à propos:

Wielkopolanie nie dość, że własnymi siłami po-

trafiliby wywalczyć sobie niepodległość, to pomogli Polakom z innych części kraju. Zwycięscy żołnierze z Wielkopolski byli świetnie wyszkoleni, wyposażeni i pewni siebie. Na froncie przeciwko Ukraińcom nazywano ich „Rogatymi Diabłami”. Byli dla Ukraińców po prostu straszni...

„Wspaniałe to było wojsko! Chłopy rosłe, dobrze odżywione, z pruskim drylem, mundury, broń i ekwipunek nowiusienkie, wysokie rogate czapy i te nowe, jeszcze żółte buty! Uzbrojone po zęby, aż nam gały wychodziły patrząc na tę siłę, butę i pewność siebie! Teraz zobaczyliśmy, jakie to my jesteśmy dziady. Wszystko u nas odżyło” – wspominał porucznik R. Czartoryski. Wielkopolscy żołnierze zrobili ogromne wrażenie na swoich kolegach, którzy już od listopada 1918 r. walczyli z Ukraińcami o Lwów i Małopolskę Wschodnią. Była to pierwsza wojna odrodzonej Polski. Warunki w jakich przyszło walczyć, były dla obu stron katastrofalne. Przyjazd Poznańczyków był dla polskich żołnierzy pozytywnym szokiem i zastrzykiem nowej motywacji do walki z wrogiem. Tam, dokąd przybywały oddziały z Wielkopolski, od razu wkraczał nowy duch, duch zwycięstwa. [Mateusz Staroń dla WP Powstańcy Wielkopolscy na wojnie polsko-bolszewickiej]

Minęło 70 lat i w Niemczech ponownie (jak w 1848 roku) wybuchła rewolucja. Bunt marynarzy w Kilonii 3 listopada 1918 roku rozpręstrzenił się szybko na całe Niemcy. W kraju będącym od czterech lat w stanie wojny, żołnierze naprawdę mieli dużo do powiedzenia. Władzę przejęły rewolucyjne Rady Robotnicze i Żołnierskie. I tu ponownie „poczcwiu Bosze”, jak określał Niemców Daniel Kęszycki, wpadli w pułapkę tym razem własnej praworządności. Rady zaczęły powstawać lokalnie i miały oficjalny

mandat do sprawowania władzy. „Tegom chciał” – powiedziała by zapewne hetman Czarniecki, gdyby mógł to widzieć. W miejscowościach, w których żywił polski przeważał, a tak było m.in. w powiecie śremskim, już w połowie listopada zaczęły powstawać Rady Robotnicze i Żołnierskie, w których jakimś niepojętym sposobem większość stanowili Polacy. Skład osobowy tych rewolucyjnych tworów też był zadziwiający, zwłaszcza Rad Robotniczych: księża, przedsiębiorcy, dziennikarze... W Śremie przejęcie steru nowej władzy nie od razu się udało. W Radzie Żołnierskiej przeważali niemieccy żołnierze. Tu ujawnił się cały kunszt dyplomacji doktora Matuszewskiego, czujnego konspiratora i cichego organizatora powstania. Doktor sprowokował „lud” do utworzenia Rady Robotniczej i połączenie jej w jedno z Radą Żołnierską. Po mistrzowsku przeprowadził wybory i w efekcie stanął na czele „zjednoczonych” Rad z przewagą Polaków. Nasza przewaga w tej nowej władzy umożliwiła nam ustanowienie polskich „kontrolerów” we wszystkich instytucjach publicznych. Mogliśmy też zacząć tworzyć rewolucyjną milicję, tj. Straż Ludową, która stała się pretekstem do legalnego pozyskania od Niemców broni i amunicji. Niezwykła pomysłowość śremsian – Daniela Kęszyckiego, dowódcy Straży i Zdzisława Chłapowskiego, dowódcy obwodu Mosina wieś – sprawiła, że otrzymaliśmy 300 karabinów, lecz tylko 1500 naboji. Niemcy naturalnie obserwowali te nasze poczynania z pewnym niepokojem, jednak i tu jakaś zaćma na nich padła. Wysłali ze Śremu do Komendantury w Poznaniu kapitana z niepokojącym raportem. Komendantura zatelefonowała do Śremu, do... dr. Seweryna Matuszewskiego, który już wówczas panował nad całokształtem przygotowań do powstania, i – jak to być mogło? – dała wiarę jego zapewnieniom, że nie ma powodu do niepokoju. W innym mieście powiatowym z kolei, nie pomnę którym, z nadmiaru ostatnio przeczytanych relacji, oficer niemiecki zwołał zbiórkę oddziału Straży Ludowej i dokonał lustracji. Miał przed sobą doświadczonych żołnierzy armii niemieckiej i tak się złożyło, że co drugi nosił niemieckobrzmiące nazwisko. Możemy sobie tylko wyobrazić wybuch śmiechu, gdy usatysfakcjonowany oficer oddalił się na wystarczającą odległość.

Powtarzalność wydarzeń pierwszych dni powstania w każdym mieście i miasteczku wyklucza przypadek. Naprawdę byliśmy przygotowani na ten moment. Gdy „Poznań dał sygnał” niemal równocześnie, najpóźniej do 1 stycznia 1919 roku, władza została od Niemców przejęta wszędzie tam, gdzie żywił polski przeważał. Zupełnie fenomenalna jest historia przejścia śremskiego garnizonu. Niemcy ulegli całkowicie naszej propagandzie strachu. Na ulicach i w lokalach przodował w niej Zdzisław Brzeski, właściciel Manieczek, strasząc ludność cywilną i wojskowych wizją wzięcia garnizonu z mnóstwem „fantastycznych i krwawych szczegółów”. Jak pisze Daniel Kęszycki o poddaniu garnizonu na niezwykle korzystnych warunkach: *W rzeczywistości zasługa tej pokojowej decyzji przypada w znacznej mierze pani Broel-Platerowej z Góry, secundo voto gen. Zahorskiej. Miała ona wielki wpływ na podpułkownika Kramera [dowódcę garnizonu] i jego żonę i potrafiła odmalować im położenie w tak ciemnych barwach, że biedacy widzieli się już ciągnięci na gilotynę lub szubienicę przez wyjąccą łyżeczkę rozszalałych Polaków.* Pomogła nawet niefrasobliwość naszych konspiratorów, za sprawą której ppłk Kramer wiedział o planowanym w nocy 30 grudnia 1918 roku ataku na garnizon. Poddanie nastąpiło w domu doktora Matuszewskiego, z którym po południu 30 grudnia skontaktował się ppłk Kramer. O godzinie 18 w domu doktora stawił się Kramer z trzema oficerami i adiutantem. Oczekiwali ich, oprócz gospodarza, Władysław Szczepkowski, Henryk Swinarski i Daniel Kęszycki. Niemcy oddali praktycznie wszystko w zamian za gwarancję bezpiecznej ewakuacji poza granice Wielkopolski. I ta sytuacja pokazuje, że dr Matuszewski dyskretnie panował nad całością wydarzeń. Jak pisał we wstępie do *Wspomnień...* Daniela Kęszyckiego: *Od chwili, kiedy mnie żołnierze niemieccy napadli i mi browning do piersi przyłożyli [odstąpili, gdy doktor zapewnił ich, że nie jest konspiratorem!], stałem się bardzo mało mównym, planów swych nie zdradzałem, bo wiedziałem, co mnie jako przewodniczącego Rady Robotniczo-Żołnierskiej od Niemców spotkać może. Przecież Wspomnienia... tak jaskrawo pokazują, że Polacy, nawet tacy jak Szczepkowski, tajemnicy utrzymać nie umieli i swą nieostrożnością narażali sprawę. Dziś mogę odchylić rąbek*

tajemnicy. Plan mój był następujący: jak najlepiej uzbroić trzy Kompanie Bezpieczeństwa i trzymać je w pogotowiu. Na wiadomość o zbliżaniu się Grenzschutzu (miał być wysłany z Głogowa) załadować garnizonem w ostatniej chwili, by zdobyć potrzebną broń i amunicję, uzbroić lud i zmierzyć się z najeźdźcami. W razie niepowodzenia wycofać się w dwóch oddziałach przez Zaniemyśl, Środę, Miłosław i Książ, Nowe Miasto, Żerków na terytorium byłej Kongresówki, a w razie zwycięstwa, zależnie od sytuacji w Poznaniu, pozostać na miejscu albo tak samo przejść do byłej Kongresówki.

Szczęśliwie, czarne scenariusze się nie sprawdziły. W nocy z 30 na 31 grudnia Polacy przejęli władzę w Śremie. Wezwane posiłki z Kórnik i z Książa przyszły „na gotowe”. Duch bojowy i entuzjazm w przybyłych oddziałach był tak wielki, że niektórzy poczuli nawet pewne rozczarowanie. Rano 31 grudnia 1918 roku odbyła się uroczysta msza, którą odprawił proboszcz Jan Beisert, defilada oddziałów Straży Ludowej, Powiatowej Rady Ludowej, Bractwa Strzeleckiego i innych Towarzystw, a następnie obiad dla wszystkich na dziedzińcu koszar. Władzę cywilną objął Władysław Szczepkowski. Stefanowi Chosłowskiemu powierzono utworzenie regularnego batalionu powstańczego. Już wkrótce powstańcy powiatu śremskiego wzięli udział w ciężkich walkach pod Zbąszyniem, Lesznie i Rawiczem, gdzie Niemcy bronili się zaciekle. Zaczęła się regularna wojna o każdy skrawek Wielkopolski, ważna ze względu na toczony w Wersalu rozmowy, gdzie decydowano m.in. o granicach niepodległej Polski. „Bosze” przestali być „poczciwi” i, jak zwykle, szybko opanowali rewolucyjną sytuację, stając się znowu groźnym przeciwnikiem, nie tylko na froncie, ale też w negocjacjach dotyczących przebiegu przyszłych granic traktatowych.

Zwyciężyliśmy ich wtedy, jednak niczego nam nie zapomnieli i gdy wrócili we wrześniu 1939 roku „do siebie”, w operacji Tannenberg w wielkopolskich miastach i miasteczkach rozstrzelali publicznie wielu znaczących powstańców wielkopolskich, w tym dr. Seweryna Matuszewskiego.

Dla złagodzenia tej koszmarniej konkluzji proponuję dwie relacje książkowych powstańców, których najwyraźniej rozczarowanie bezkrwawym prze-

jęciem śremskiego garnizonu, spowodowało do stworzenia własnej wersji wydarzeń. Z całym dla nich szacunkiem, jest to jaskrawy przykład, że praca historyka nie jest łatwa. Obaj piszą o swoich dokonaniach w trzeciej osobie. Zachowam się dyskretnie i nie podam ich nazwisk, tym bardziej że byli naprawdę dzielnymi powstańcami.

Pierwszy powstaniec: *W grudniu 1918 roku wrócił do rodziców do Książa, gdzie rozpoczął 25.12.1918 pracę agitacyjną na rzecz powstania. Wstąpił ochotniczo do jednostki powstańczej, która nosiła nazwę „Kompania Książ” pod dowództwem Michała Ziembowskiego oraz Feliksa Bulińskiego. Jednostka ta rozbroiła i oczyściła z Grenzschutzu miejscowość Śrem. 31 grudnia 1918 kompania została wezwana przez Pow. Komitet Organizacyjny na czele, którego był kpt.[ppor.] Swiniarski oraz por.[chor.] Trawiński. Jednostka otrzymała rozkaz opanowania i rozbrojenia jednostki Niemców w Śremie i koszar w Śremie. Po wysłaniu parlamentarzysty do koszar Niemcy się nie poddali, dlatego też postanowiono drogą walki zmusić do oddania koszar. Po zaciętej walce zdobyto koszar i rozbrojono jednostki niemieckie.*

Drugi powstaniec: *Po wybuchu rewolucji w Niemczech w listopadzie 1918 wraca do Książa, gdzie 15 listopada tego roku zwołuje wiec publiczny, tworzy Radę Robotniczo-Żołnierską, której zostaje prezesem i powołuje do życia Straż Ludową. Wspólnie z żołnierzami polskimi wracającymi z frontu niemieckiego przeprowadza kontrolę ruchu Niemców na tym terenie. Przez to gromadzi broń i uzbraja około 400 powstańców, którzy następnie jako oddział już sformowany i uzbrojony udają się na teren miasta Śrem, gdzie dokonują jego oswobodzenia.*

O wybaczenie proszę zawodowych historyków, lecz mam ogromną potrzebę zrozumienia całej sytuacji w grudniu 1918 roku, poczucia nastroju, uwzględnienia indywidualnych temperamentów, wyobrażenia sobie wypadków w pełnych, soczystych kolorach, których nie ma na ówczesnych fotografiach ani – wybaczenie – w podręcznikach historii, przez co, jak zauważyła Ewa Nowak, myślimy, że wtedy mieli liście szare albo w kolorze sepii.

Katarzyna GWINCIŃSKA

Jak ks. Jan Ludwiczak chwałkowiaków do powstania pośłał



Na południowych krańcach gminy Książ Wielkopolski leży wieś Chwałkowo Kościelne. Jest to z dziada pradziada wieś gospodarska. Choć należała do klucza majątków Mchy, gospodarze pracowali tu na swoim. Stoi w niej duży murowany kościół pobudowany w 1819 roku i duża murowana plebania. Jest szkoła, której pierwszy budynek powstał w 1894 roku, i obecnie należący do szkoły budynek Banku Ludowego z 1932 roku. Dzisiaj wieś liczy około 900 mieszkańców i należy szacować, że w 1918 roku liczyła niewiele mniej. Daleko od organiczników, z początkiem XX wieku wieś trochę przysnęła, aż w 1916 roku nowy proboszcz urządził pobudkę. Ksiądz Jan Ludwiczak 1 kwietnia 1916 roku został administratorem parafii w Chwałkowie Kościelnym, a rok później, 24 sierpnia 1917, jej proboszczem. Od razu wziął się do roboty. W 1916 roku reaktywował działalność Katolickiego Stowarzyszenia Robotników. W tym samym czasie objął prezesurę Kółka Rolniczego w Chwałkowie i zorganizował Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej. W 1918 roku założył Stowarzyszenie Młodych Polek. Organizował kursy oświatowe, patronował ćwiczeniom fizycznym i wojskowym.

Gdy nadszedł „rok ów”, przystąpił do konspiratorów przygotowujących powstanie w obwodzie ksiąskim. Na tajnym zebraniu u ks. Antoniego Wiśniewskiego w Mchach, 6 października 1918 roku, przydzielono mu funkcję komendanta mającej powstać formacji militarnej obwodu Książ wieś. Ostatecznie komendantem został Konstanty Bniński, jego zastępcą Roman Barcikowski z Konarskiego, a Jan Ludwiczak zajął się werbunkiem, do czego bezpardonowo wykorzystywał autorytet proboszcza. Jego płomienne wystąpienia agitacyjne w kościele są do dzisiaj przekazy-



Rodzina Perz. Najwyższy stoi Kazimierz Perz. Chwałkowo Kościelne 1927 r.

wane kolejnym pokoleniom chwałkowień. Sięgał po różne argumenty, łącznie z: „jak nie pójdziesz do powstania, to cię żadna panna nie będzie chciała”. Gdy po wybuchu powstania widział na mszy młodych mężczyzn, nawoływał kobiety do niepodawania im ręki. Niezależnie od metod, był niezwykle skuteczny w werbowaniu powstańców. Z samego Chwałkowa poszło do powstania co najmniej 72 mężczyzn. Jak by nie liczyć, to prawie co dziesiąty mieszkaniec. Po powstaniu kontynuował swą pracę narodową, społeczną i oświatową. W 1924 roku współtworzył Towarzystwo Powstańców i Wojaków Koło Chwałkowo. Patronował Towarzystwu Młodzieży Polskiej. Na fotografii po lewej widać jego wojskowy sznyt pod sutanną. Obrazu mężczyzny zdecydowanego dopełnia zawadiacko przekrzywiona powstańcza rogatywka.

Jednym z powstańców, który początkowo trochę się ociągał, jest Kazimierz Perz. Dzięki uprzejmości rodziny, możemy poznać fragmenty jego wspomnień. Jest w nich ksiądz Ludwiczak, powstanie i wojna polsko-bolszewicka.

Kazimierz Perz urodził się 3 lutego 1900 roku w Chwałkowie jako syn Stanisława i Marii Działek. W latach 1906-1913 uczył się w szkole powszechnej w Chwałkowie. Ostatni rok nauki odbył w Golinie, gdzie pracował jako parobek w gospodarstwie rolnym. W 1914 roku wrócił do Chwałkowa i pracował jako parobek do ukończenia 18 lat. Wówczas podjął pracę w tartaku w „Panieńskich Borach”. W marcu 1918 roku stanął przed komisją poborową w Śremie, jednak został „wyreklamowany” z obowiązkowego poboru przez właściciela tartaków, jako niezbędny, wykwalifikowany pracownik.

6 stycznia 1919 roku z Chwałkowa wyrusza na powstanie pierwsza partia powstańców, wyłącznie starzy żołnierze frontowi, ruszył i mój brat Józef. Skierowani zostali niezwłocznie na front pod Leszno. Dnia 11 stycznia 1919 roku, jeszcze ciemno, głucha noc, ktoś puka do okna. Kaziu w domu? Natychmiast niech się ubiera! Niemcy atakują Śrem, atak musi być odparty, potrzebni żołnierze! Do okna pukał wuj Ignac [Działek] i ks. Ludwiczak Jan, wielki społecznik i patriota.

Księdzu Ludwiczakowi muszę poświęcić kilka słów. Probostwo odziedziczył po zmarłym ks. Doerferze w 1917 lub może 1916 roku. Był to prawdziwy ksiądz, szczególną opieką otaczał młodzież, latem grał razem z chłopcami w różne gry na boisku, które powstało dzięki niemu, zimą organizował wieczornice, kursy, przedstawienia amatorskie, ucząc młodzież języka polskiego, patriotycznych wierszy i piosenek. Stworzył kółko śpiewacze, zakupił i stworzył „Dom Katolicki” itd., itd. Był duszą i ostoją polskości.

Na takie wezwanie, trudno pozostać obojętnym, zresztą, nim się Rodzice dobrze obudzili, ja już byłem gotów do drogi. Chwila pożegnania, przestrogi Ojca, płacz Matki, próby przekonania mnie, abym poczekał aż się rozwidni. Nie dziwię się – przecież dwóch synów było już na wojnie, a trzeci poległ nie mając lat dwudziestu.

Wyruszyłem więc z domu rankiem ok. godziny czwartej. Zbiórka koło gościńca. Tam już czekały drabiniaste wozy, które zawiozły nas do Śremu. Jeszcze było szaro. Oczywiście, Niemcy nie atakowali Śremu. Nie spotkaliśmy też po drodze żadnych Niemców. Do domu jednak już nie wróciłem, zamieszkaliśmy w koszarach b. 47 Regimentu

Powstańcy z Chwałkowa. 1919 r.



Piechoty. Stchórzeli jednak Stachu Makowski i kuzyn Franek Perz. W Śremie pozostaliśmy około czterech tygodni, pilnie ćwicząc w żołnierskim rzemiośle. W połowie lutego 1919 roku, już jako pełnowartościowy żołnierz, wyruszyliśmy na front, odcinek Rawicz, Miejska Górka, Szupia, Zielona Wieś, Karolinki. W tym czasie więcej walczyli dyplomaci aniżeli żołnierze na frontach. Front był względnie spokojny, służba ograniczała się do wysuniętych posterunków, wzmocnionych patroli na przedpolach i dalszym pogłębianiu wiedzy żołnierskiej. Nie znaczy to wcale, że nie było żadnych potyczek. Owszem, od czasu nagle powstawała strzelanina, nawet armaty grały, ale to było krótkotrwałe. Dyplomacja pracowała, linie demarkacyjne zostały ustalone i przestrzegane przez obydwie strony walczące. W czerwcu 1919 roku na mocy traktatu wersalskiego ustalone zostały granice Państwa Polskiego. Pamiętam, nasz 11 Pułk Strzelców Wielkopolskich [później 69 PP] zajmował tereny w okolicach Kępna, z Kępnem włącznie. Niemiecka straż tylna wycofywała się z tych terenów, a myśmy je zajmowali, idąc w straży przedniej. Widzieliśmy wycofujące się jednostki niemieckie. Ach, to były chwile! Jak nas ludność witała! Miejscowi Polacy dosłownie wydzielali sobie polskich żołnierzy, aby ich gościć u siebie. Wkraczaliśmy przecież jako Polacy, jako zwycięzcy.

Po zwycięskim, tryumfalnym pochodzie, nasz żołnierski los odmienił się na gorsze. W lutym 1920 roku pułk nasz skierowany został na front wschodni. Wylądowaliśmy w okolicach Lidy, mrozy okrutne, zaspasy śnieżne wysokie na chłopca. Początkowo rozrzućeni byliśmy na wsi, spaliśmy u chłopów, wszy nas jadły, tucząc się, a żołnierz chudł, bo wyżywienie dalekie było od wystarczającego. Wiosenna ofensywa wojsk polskich Piłsudskiego zapędziła nas aż za Bobrujsk. Maszerowaliśmy śladami wojsk napoleońskich, a później śladami wojsk niemieckich w I wojnie światowej. Berezynę przeszliśmy pod Borysowem. Kontrofensywa wojsk radzieckich rozpoczęła się w maju, cały front wschodni załamał się. Cofaliśmy się w popłochu, nękani dniem i nocą frontalnymi atakami piechoty i kawalerii. Byliśmy głodni, przemoczeni i prawie nadzy, więcej do band niż do ludzi podobni, dziesiątkowani w codziennych bitwach, przez głód, nędzę, choroby i wycieńczenie w ciągłych męczących od-



Towarzystwo Powstańców i Wojaków w Chwałkowie ze sztandarem. Centralnie siedzi ks. Jan Ludwiczak. 24.12.1925 r.

wrotach. Doszliśmy aż do Bugu, który sforsowaliśmy w pośpiechu wpraw. Tutaj, za tą naturalną przeszkodą się zatrzymaliśmy, wierząc że sobie trochę odpoczniemy. Płonne jednak były nasze nadzieje, bo 6 sierpnia 1920 roku nagle zaatakowani zostaliśmy od tyłu i z przodu. Nasz pułk w ataku na bagnety zlikwidował włamanie, niestety, ja już w ataku na bagnety nie brałem udziału, bowiem około trzeciej po południu zostałem ciężko ranny w głowę i na tym zakończyłem swoją epopeję, swój bojowy szlak. Pod koniec września zostałem wypisany ze szpitala i skierowany do kompanii uzdrowieńców w zapasowym pułku w Śremie. Z batalionu zapasowego w Śremie, jako niezdolny do dalszej służby liniowej, przeniesiony zostałem do Poznania do Batalionu Wartowniczego, stacjonującego na Śródcie. Skład batalionu: wyłącznie żołnierze frontowi, z różnych powodów uznani przejściowo za niezdolnych do służby liniowej. Kierowani byli do różnych funkcji garnizonowych: ordynansi oficerów, biur wojskowych, muzea wojskowe, szpitale itp. Osobiście otrzymałem przydział jako ordynans do pułkownika Kurowskiego, szefa Przemysłu wojennego.

Kazimierz Perz do Chwałkowa już nie wrócił. Po demobilizacji najpierw pracował w Poznaniu i Grudziądzu jako urzędnik. Od połowy maja 1927 roku rozpoczął pracę w Związku Spółdzielni Spożywców „Społem” w Łodzi, później Katowicach, Gdańsku i w Gdyni aż do wybuchu wojny w 1939 roku. Jako Polak musiał opuścić Gdynię. Udał się do Chwałkowa, a później do Warszawy, gdzie całą okupację przepracował w „Społem” w charakterze tłumacza i łącznika. W kwietniu 1945 roku powrócił do Gdyni. Ożenił się 10 października 1945 w Redzie ze Stefanią Szczepańską. Od 1 lipca 1968 roku przebywał na emeryturze. Zmarł 9 grudnia 1987 roku w Gdyni. Został pochowany w Gdyni na Cmentarzu Witomińskim.

Opracowanie: KG

Wielkanocne maskary w Wielkopolsce

Gdybyś w drugie święto Wielkanocy przejeżdżał przez niektóre wsie wielkopolskie, zatrzymałby Cię niezwykle pochód maszkar i niedwuznacznie zażądałby od Ciebie okupu. Z początku może oburzyłbyś się na „bezczelność” tych dziwaków, jednak figle tych postaci i rozbawiony tłum widzów towarzyszący im rozśmieszyłby Cię i „było nie było” dałbyś okup, a potem miałbyś dosyć czasu by się zastanawiać, co to za dziwne postacie i jaki to zwyczaj?

Od nich samych dowiedziałbyś się prawdopodobnie niewiele o pochodzeniu i znaczeniu tego zwyczaju, bo przecież trudno wymagać od ludu, aby wiedział, że podobne maskary w okresie karnawału występują prawie we wszystkich krajach Europy.

Zwyczaj ten związany był początkowo z obrzędem znanym pod nazwą „Podkoziółka”. Polegał na wykupieniu się dziewczyny, która w okresie

Grupa maszkar ze wsi Brodnica w pow. śremskim, ok. 1947 r., fot. Jan Horowski





Z lewej: Tak zwany Nieżywy. Z prawej: Dziad i Baba. Zbrudzewo ok. 1947 r., fot. Jan Horowski

ostatniego karnawału nie wyszła za mąż przed „koziółkiem” lub jego emblematem, jako symbolem wegetacji i płodności. Lokalnie jednak zdarzało się, że maskary jako zwyczaj o charakterze weselnym i bardziej niejako masowym, stawały się samodzielną jednostką obrzędową. Przypatrzmy się z kolei postaciom pochodu maskar, jaki dawniej chodził po wsi w ostatki, obecnie najczęściej spotykamy go w drugie święto wielkanocne. Do najczęstszych postaci należy koń, od którego zwyczaj w niektórych okolicach nosi nazwę „konia” lub „siwka”. Postać ta przypomina nieco krakowskiego Lajkonika, jest jednak mniej strojna. Technicznie wygląda to w ten sposób, że mężczyzna przymocowuje sobie z przodu do piersi i z tyłu na plecach rzeszoto. Do przedniego przymocowuje się głowę konika, wystruganą z drzewa lub uszytą ze szmatek i wypchaną, do tylnego ogon z włosów końskiego. Całość przykrywa się białym prze-

ścieradłem. Jeździec na „koniu” płata figle, goni dzieci i czuwa nad całym orszakami. Drugą bardziej pospolitą postacią, nadającą też często nazwę pochodowi jest niedźwiedź. Jest on owinięty w grochowiny, słomę lub ubrany w odwrócony kozuch. Prócz tego spotykamy takie postacie jak kominiarz, diabeł, dziad, baba, a w Zbrudzewie pod Śremem widziałem tzw. „nieżywego” lub „nieboszczyka” wykonanego podobnie jak koń. Prowadzi go na łańcuchu drugi chłopak i zachęca do tańca w takt melodii.

Cały ten orszak chodzi od domu do domu, zbiera datki w pieniądzech i naturaliach. Wchodząc do domu śpiewa jakąś odpowiednią pieśń, wygłasza orację, a niekiedy (dziś już zaniechane) przedstawia jakąś wesołą scenkę. Za zebrane pieniądze i naturalia urządza się wieczorem wspólną zabawę albo dzieli się je między siebie. Całemu orszakowi towarzyszą tłumy ludzi i dzieci.



Grupa maszkar wielkanocnych ze wsi Zbrudzewo pod Śremem, ok. 1947 r., fot. Jan Horowski

Jakie znaczenie mają te obchody i jakie jest ich pochodzenie? Na to pytanie usiłuje odpowiedzieć B. Stelmachowska w swojej pracy *Podkoziołek w obrzędowości zapustnej Polski Zachodniej* (Poznań 1933). Maszkary owe zalicza do obrzędów wegetacyjno-wiosennych. Takie przynajmniej znaczenie ma większość postaci, które w mitologii i wierzeniach religijnych różnych ludów odgrywały podobną rolę. Wszystkie prawie zwyczaje zapustno-wiosenne (przeniesienie ich w okres Wielkanocy nie zmienia postaci rzeczy), mają wiele pierwowzorów w starożytności klasycznej. Zachodzi jednak trudność znalezienia drogi, jaką te wpływy do nas przyszły.

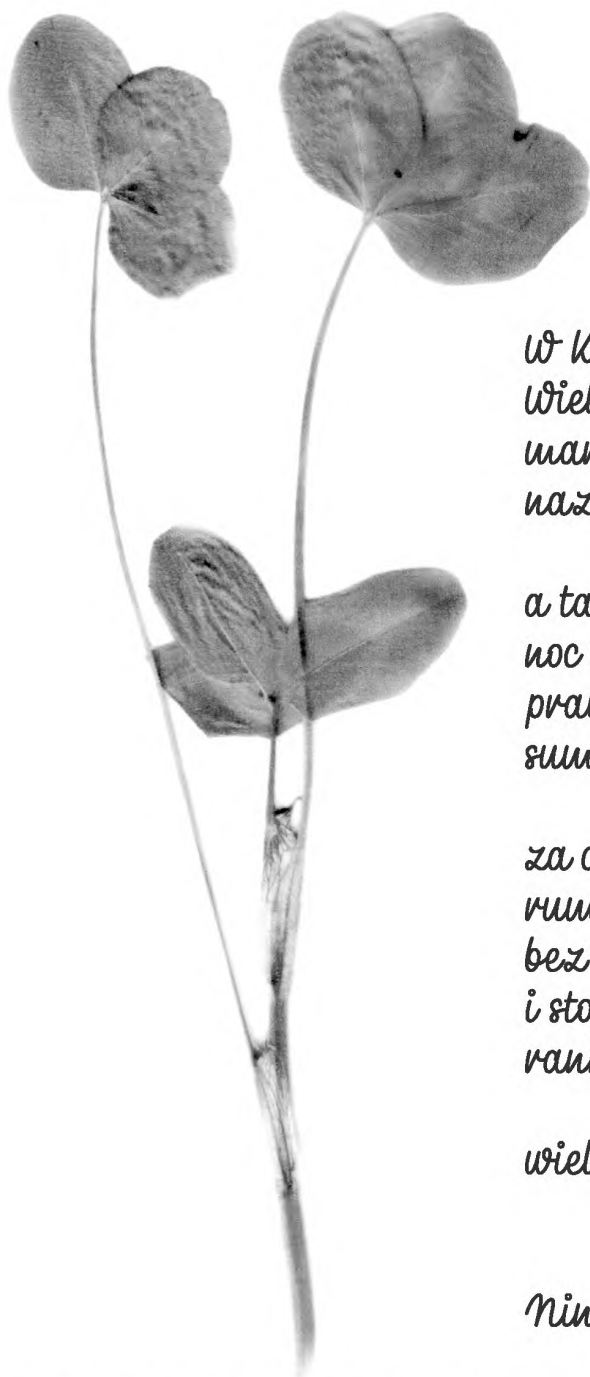
Za najprawdopodobniejsze wydaje się pochodzenie maszkar za średniowiecznych widowisk, misterii i przedstawień ludowych, w których spotykamy ślady starożytnych mimów. Niezależnie od tego, trzeba w nich widzieć przejaw prymitywnego sposobu myślenia wobec zbliżającej się wiosny, której wegetacyjną moc należy sobie w taki właśnie sposób pozyskać i uczcić.

mgr Jan HOROWSKI

Artykuł Jana Horowskiego z 1948 roku nie był dotąd publikowany. Oryginał znajduje się w Archiwum PAN w Poznaniu. Publikujemy za zgodą Marii Horowskiej-Drogomireckiej.

Budowa Konia, Zbrudzewo, ok. 1947 r.,
fot. Jan Horowski





*w kępie MaTej
Wielka Portugalia
marzenia zwyczajne
nazwane niezwykle*

*a tam
noc nocą,
prawość prawością,
sumienie sumieniem*

*za chatą, pradziadków
rumianki
bez zakłóceń
i stopą, po rosie
rannej...*

wielki świat

Nina Szumt

Wielka Portugalia to hipotetyczna nazwa lokalu, restauracji, której także hipotetyczne istnienie miałyby mieć miejsce w bardzo małej wiosce, w środku świata, na odludziu, daleko od cywilizacji pozornej

„MACIUŚ”

Historia sentymentalna

cz. 2

Gdyby spojrzeć statystycznie na 25 lat działalności Klubu „Maciuś” zauważymy dominację tańca i muzyki: wieczorki taneczne, dyskoteki, zabawy pracownicze, rytmika, kursy tańca, zespoły taneczne, koncerty, „Kulisy opery”, Klub Dobrej Płyty...

Kiedy w sierpniu 1969 roku rozpoczynałam pracę „Maciuś” był znany z weekendowych wieczorów tanecznych. Przygrywał zespół muzyczny pod kierownictwem Andrzeja Michałowicza. Skład się zmieniał, wymienię zapamiętanych:

Krystyna Kłosowska (wokal), Adam Kłosowski (gitara), Jerzy Zbiciak (gitara basowa), Andrzej Piasecki (gitara, wokal), perkusja: Roman Stankowski, Eugeniusz Dworczyński. Grali do 1983 roku i grali tak, że naprawdę chciało się tańczyć. W karnawale zajęte były wszystkie soboty na zabawy pracownicze oraz obowiązkowo tradycyjne Podkoziołki, Andrzejski i zabawy sylwestrowe. Jedyny odwołany sylwester to 1981 rok - stan wojenny. Stan wojenny na krótko zawiesił działalność „Maciusia”, na krótko bo szybko wydep-

Zespół taneczny, 1970 r.





Zespół wokalo-taneczny. Dni Śremu 1987 r.

tałam pozwolenie na wznowienie działalności ręcząc za swoich bywalców. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba miesiąc dłużej czekaliśmy na możliwość wznowienia dyskotek, które od połowy lat 70. opanowały wszystkie niedziele, a także wolne od zabaw soboty. Były tak popularne, że przez pewien okres możliwość wejścia mieli tylko bywalcy nagradzani wejściówką za aktywność w całym tygodniu. Pierwszym i kultowym DJ był Krzysztof Sromicki. Jeżeli dobrze pamiętam Krzysztof był jednym z niewielu wówczas DJ z „certyfikatem”. A rozpoczynał w „Maciusiu” od odtwarzania na radioli przyniesionych płyt pocztówkowych. Wkrótce hitem techniki stał się magnetofon szpulowy i właśnie na takim dwuścieżkowym Grundigu ZK 120 Krzysztof Sromicki szlifował swój niewątpliwie talent i porrywał młodzież do tańca. A kiedy zdobył szlify i ruszył w Polskę za „konsolą” stanął Witek Ławniczak i do samego końca prowadził dyskoteki odtwarzając (z czasem na czterościeżkowym Grundigu ZK 147), nagrane z radiowych list taneczne przeboje. Bo na dyskoteki szło się potać i przy okazji poznać nowych znajomych. Wzmógł się ruch panował w okolicach corocznego naboru słuchaczek Studium Pielęgniarskiego.

Tańczyło się parami, figur nauczyliśmy się wzajemnie od siebie, a dla chętnych prowadziłam kursy tańca. Kocham taniec, sprawia mi ogromną przyjemność i chciałam by inni też to poczuli. Czy udało mi się choć kilku zarazić?

Wspomnienie dyskotek byłoby niepełne bez wspomnienia Jacka Bambrowicza, od którego zależał porządek, który decydował kto wejdzie, a kto dzisiaj nie bo mógłby zakłócić dobrą zabawę. To on przez wiele lat „stał na bramce” i pilnował by dyskoteki nie straciły opinii kulturalnej zabawy. Bywalcy napewno czuli respekt i zapamiętali postawną sylwetkę Pana Jacka.

„Maciuś” roztańczył młodzież nie tylko na dyskotekach czy popularnych pod koniec lat 80. „osiemnastkach”, ale także w zespołach tanecznych. Pierwszy, jak wspominałam w poprzednim artykule, założyła moja siostra Halina na potrzebę zaliczenia specjalizacji z tańca na poznańskim AWF-ie. To była jesień 1969 roku, początek mojej pracy w „Maćku” i także mojej zawodowej przygody z tańcem. Przez rok przyglądałam się pracy siostry i kiedy wyjechała do Katowic przejęłam prowadzenie zespołu. Chcąc to robić profesjonalnie podjęłam edukację taneczną i już jako uprawniony instruktor tańca zaczęłam prowadzić



Zespół ballady poetyckiej. 1986 r.

również zajęcia muzyczno-ruchowe z dziećmi. W 1987 roku tą działalność przejęła Ilona Tomczak (dzisiaj Zachariasz) prowadząc dla dzieci stałe zajęcia rytmiki. Miałam to szczęście, że do zajęć akompaniowali mi znani muzycy: Marian Zieliński następnie Robert Łuczak, a od 1982 roku Krzysztof Maciejewski. Współpraca z Krzysztofem trwała do końca mojej działalności zawodowej (25 lat) i zaowocowała niezwykle artystycznie projektami muzyczno-wokalnymi w „Maciusiu”, a po jego likwidacji w Ośrodku Kultury (15 lat). Jesienią 1983 roku, na bazie Szkoły Podstawowej Nr 4, powołaliśmy z Krzysztofem nasz pierwszy zespół wokalno-taneczny. Kandydatki, poza dobrymi wynikami w nauce, musiały spełnić wysokie wymagania wokalne i taneczne. Nie każdej udawało się precyzyjnie powtórzyć wystukiwane przez maestra dźwięki (doświadczyla tego boleśnie także moja córka). Chętnych zgłosiło się bardzo dużo i przesłuchania trwały trzy dni, a my mieliśmy możliwość wyboru najlepszych. 40 wybranek suitą „Noc czerwcową” już w kwietniu 1984 roku reprezentowało Śrem w programie „Młodzież szkolna Śremu społeczeństwu miasta Poznań”. Po dwóch latach (1986 r.) z 11 najstarszych dziewcząt wy-

łoniliśmy zespół ballady poetyckiej, z którym pojechaliśmy na „Przegląd CZSP” do Limanowej. Wysokie wymagania Krzysztofa do perfekcji brzmienia zespołu, warunkowały i ograniczały moją choreografię. Zespół zawsze śpiewał na żywo, co zresztą doceniało jury, obowiązywał więc prosty ruch, wyłącznie przodem do widowni, a „potańczyć” można było tylko między wokalem. Ćwiczenia odbywały się na cotygodniowych próbach, ale udało nam się również zorganizować dwa obozy artystyczne: w Racocie zimą 1985 r. i w Bielsko Białej latem 1987 r. Pozostały zdjęcia i wspomnienia wieczornych śpiewów przy pałacowym kominku, nauki jazdy konnej w Racocie, atrakcje Parku Rozrywki w Chorzowie, wyprawa na Dębowiec i rozśpiewany pociąg powrotny do Śremu. Przez 5 lat (1983-1988) przewinęło się przez zespół wiele utalentowanych dziewcząt. Dzisiaj spotykam je w różnych miejscach, na różnych stanowiskach. Jak wspominają swój udział w zespole? Czy pamiętają zielone spódniczki, kolorowe spodnie na szelkach i szare sukienki, na które mozolnie naszywałam czarne łyśki? Czy wiedzą jak dobrym były zespołem? Odsłuchując dziś kasety z nagraniami programów, które skrupulatnie nagrywał i przechowywe-



„Kulisy Opery” – Zdzisław Dworzecki

Krzysztof, z dumą stwierdzamy, że naprawdę dobrze brzmiały.

Okres po zniesieniu stanu wojennego okazał się sprzyjający do organizacji koncertów muzycznych. Chociaż gwiazdy rzadko koncertowały w klubach typu „Maciuś” - bez sceny, bez akustyka, bez odpowiedniego nagłośnienia i za niewielkie pieniądze – u nas grali: Tadeusz Nalepa, Ireneusz Dudek, Sławek Zwierzchowski (z Nocną Zmianą Bluesa), Hot Water, Easy Rider, Set Off, Kwartet Jorgi i kilka innych zespołów. To były niezwykle koncerty i zapisały się w pamięci jako wydarzenia kulturalne. Często też gościła w „Maciusiu” poezja śpiewana i muzyka kameralna: recitale Urszuli Lorenc, Jacka Różańskiego, Poznański Kwartet Smyczkowy czy cykl koncertów w wykonaniu zespołu Trio Wiedeńskie.

Na koniec zostawiłam wspomnienie spotkań z muzyką poważną, bo to one opanowały „Maciusia” najdłużej w jego historii. Co sprawiło, że dyrektor filharmonii poznańskiej Zdzisław Dworzecki 17 lat (1976 – 1993) przyjeżdżał do „Maciusia” by nam odśpiewać „Kulisy Opery”? Przeszło 70 spotkań, w kilkunastu cyklach, których tytuły oddają ich klimat: „Bliżej muzyki poważnej”, „Portrety muzyczne”, „Sekrety Poli-

hymnii”, „W kręgu słynnych wirtuozów”, „Przeboje mistrzów”, „Spotkania z operą”, „Słynne głosy”, „Pojedynek tenorów”. Szczególną miłością darzył Marię Callas, do której kilkakrotnie wracał w swoich opowieściach. Miał ogromną wiedzę i niezwykły dar dzielenia się i zarażania swoją miłością do opery. Byłam szczęśliwa, że udało się zakupić Fonomaster, dobrej wówczas klasy adapter, aby zapewnić techniczną jakość spotkań i tym gestem wyrazić naszą wdzięczność. Ostatnio poznańska telewizja emituje wspomnienia o Zdzisławie Dworzeckim – w związku z 20. rocznicą śmierci. W uznaniu dokonanej jedna z poznańskich ulic ma być nazwana Jego imieniem. I wróciło to szczególne poczucie wyróżnienia, że to właśnie On – ten sam Zdzisław Dworzecki - znajdował czas by tyle lat przyjeżdżać do „Maciusia” i opowiadać nam o muzyce poważnej. I słyszę tę opowieść o najpiękniejszych ariach, o słynnych głosach i płynące z „Maćkowego” Fonomastera nagrania unikalnych wykonanych wybrane z bogatej kolekcji płyt Zdzisława Dworzeckiego.

Wspominała Gabriela WASIELEWSKA
Kierownik Klubu „Maciuś” w latach 1969-1994

Wspomnienie

Nasza Renia

dr Teresa Kamińska (1927-2018)

Doktor Teresa Kamińska urodziła się 20 stycznia 1927 roku w Warszawie. Była starszą z dwóch córek Augustyna Walusia, dyplomowanego oficera WP II RP, odznaczonego m. in. Orderem Virtuti Militari V klasy, i Anny de domo Bogusławskiej. Ojciec był służbowo przenoszony kolejno; do Nowego Sącza, Warszawy, Torunia, Siedlec, a z nim cała rodzina. Renia, bo tak się do Niej zwracaliśmy, kształciła się zatem początkowo w Toruniu, a w czasie wojny w Bobrownikach, na kompletach zorganizowanych przez Tajne Gimnazjum Państwowe w Dęblinie. Liceum Ogólnokształcące ukończyła maturą w Lublinie w 1945 roku.

W maju 1942 roku, po przeszkoleniu sanitarnym przez lekarza AK i zaprzysiężeniu (Placówka Bobrowniki nad Wieprzem, Rejon Dęblin, Obwód Puławy), wraz z innymi sanitariuszkami udzielała pomocy rannym z oddziałów, ukrywanym w domach prywatnych w okolicznych wsiach. Przypuszczam, że już wówczas wiedziała, że zostanie lekarzem.

Studia medyczne rozpoczęła w 1946 roku w Poznaniu, kontynuowała w Łodzi. Po absolutorium i zdaniu wszystkich egzaminów w marcu 1953 roku otrzymała nakaz pracy do szpitala w Śremie. Szpital liczył wówczas 205 łóżek, a pracował w nim tylko dyrektor, chirurg dr Antoni Paul i jedna lekarka. Pełniło się służbę na wszystkich oddziałach, a dyżury tygodniowo, na zmianę z inną lekarką.

W lipcu 1950 roku wzięła ślub z Tomaszem Kamińskim, urodziła trójkę dzieci: Olgę, Grzegorza i Izabellę. Dzieci obdarzyły Renię wnukami. Ich imiona to: Piotr, Igor, Adam, Klara, Jan, Szymon

i Rita. Prawnuki to: Maria, Filip, Zuzanna, Lena, Helena, Filip, Jerzy, Elżbieta, Konstancja, Róża. Ta gromadka była głównym tematem opowieści w czasie moich odwiedzin u Niej. Renia to dumna, kochana i troskliwa Babcia i Prababcia.

Od 1956 roku była kierownikiem Ośrodka Zdrowia w Dolsku, skąd po czterech latach, w trosce o wykształcenie dorastających dzieci, przeniosła się do Warszawy. Tam była lekarzem rejonowym przez 14 lat z trzyletnią przerwą, kiedy to pracowała jako lekarz przedsiębiorstwa budowlanego w NRD.

W 1974 roku wróciła do powiatu śremskiego, gdzie pracowała do emerytury jako kierownik Ośrodka Zdrowia w Mchach. W 1980 roku Wojewódzka Rada Narodowa w Poznaniu nadała Jej odznakę honorową „Za zasługi w rozwoju Województwa Poznańskiego”.

Codziennie niestrudzenie, o tej samej porze dnia, zakładała na szyję słuchawki lekarskie, do rąk brała szpatułkę, kierowała swą skupioną uwagę na skrawek papieru, na którym widniało: Rp. Wsluchiwała się z troską w głos niespokojnej matki, by po oględzinach jej dziecka wzbudzić nadzieję na powrót do zdrowia małego pacjenta. Pochylała się z miłością nad cierpiącym pacjentem, dodając mu otuchy na szczęśliwy powrót do zdrowia. Niezależnie od pogody, pory dnia, odwiedzała chorych w domach. Jej wizyty były oczekiwane i do dziś są wspomniane. Jak dziś pamiętam Renię wchodzącą do dyżurki starego szpitala, piękną, elegancką kobietę, rozdającą uśmiech na wszystkie strony, wzbudzającą zainteresowanie i ogólną sympatię. W dyżurce pojaśniało.

W naszej pamięci pozostawiła ślad jako sumien-
ny lekarz, uczynna koleżanka, ciepła, życzliwa,
oddana, pełna wiedzy zawodowej i o ludziach ze
środowiska, w którym leczyła. Budziła zaufanie.
Robiła wrażenie, jakby uczestniczyła w proble-
mach rodziny Jej pacjentów.

Od 1974 roku była członkiem Polskiego Towa-
rzystwa Lekarskiego Koło w Śremie, w miarę
możliwości brała udział w spotkaniach nauko-
wych. Jesienią 2016 roku dr Teresa Kamińska,
nasza Renia, została uhonorowana Dyplomem
Medicus Nobilis, wręczonym na Gali w Zamku
Królewskim w Warszawie.

Zmarła 16 stycznia 2018 roku, a pogrzeb odbył
się na cmentarzu w Bninie dokładnie w rocznicę
Jej urodzin, czyli 20 stycznia.

Śmierć boli nie tych, którzy odchodzą, lecz tych
co wśród żywych pozostają.

Śrem – Bnin, 20 styczeń 2018 roku
Barbara SIWIŃSKA



Wszystko się kończy
zima
śnieg
biała biel
i kolory lata

wszystko się zaczyna
zwykły rzeczy bieg
na początku Tamtego świata...

Nina Szmyt

Nasi „winowajcy”

Jestem, więc pytam

Dawno, dawno temu św. Augustyn napisał, że w Kartaginie zbudowano krzywy łuk. Każdy, kto to przeczytał, wiedział, że w Kartaginie jest krzywy łuk. Ale – nikt nie wiedział, ile jest na świecie prostych łuków.

Coś przez wieki się zmieniło? Co widzimy na prasowych okładkach, od czego zaczynają się serwisy informacyjne? Katastrofy, anomalie klimatyczne, kronika kryminalna, głupie zachowania i działania polityków bądź zwykłych Kiepskich... Przekazujący newsy znają nasze oczekiwania. Kupujemy to bez refleksji? Tak widzimy ten świat – dziwny i zły? A może nasz umysł jest tak skonstruowany, że łatwiej niż pozytywne jest mu chwycić negatywne aspekty?

Jak tu żyć? Czy w tym kraju mogę normalnie egzystować? Nie jestem tym, kim chciałbym być! Gdyby nie „oni”, to dopiero mógłbym rozwinąć skrzydła. To „oni” są winni, że mi się nie udaje. Jak mogę na „onych” wpłynąć? Co zrobić, żeby się zmienili?... Często tak myślimy? Obwiniamy innych za nasze niepowodzenia?

Ale – skąd się biorą nasi „winowajcy”? Co rządzą nami – rozum czy emocje? Wiktor Osiatyński analizuje te drugie: złość, strach, przemoc, wstyd. „Złość podtrzymuje wątłe poczucie własnej wartości poprzez krytykowanie innych, plotkowanie lub planowanie odpłaty za każdą, nawet najmniejszą krzywdę prawdziwą, a jeszcze częściej wyobrażoną”¹. Złościmy się „indywidualnie” (na krewnych, znajomych, sąsiadów...), złościmy się „narodowo” (na ludzi innych nacji, kultur, religii – wszelkiego sortu „obcych”). Mechanizmy są te same. Najmniejsza złość urasta do ogromnych rozmiarów. Chcemy czegoś, ale tego nie dostaje-

my. Myślimy, że to niesprawiedliwe (taka myśl irytuje bardziej niż sytuacja), bo – musi być tak, jak my tego chcemy! Szukamy „winowajców”. Bo – „oni” mają odgadnąć nasze potrzeby. Potępiamy ich. Zacieramy różnicę między pojedynczym czynem a człowiekiem, między człowiekiem a społecznością. Teraz złość ma już uzasadnienie i adresatów. Pojawiająca się w umysłach samonakręcająca się spirala złości prowadzi do wybuchu. I następuje wybuch! Żli ludzie powinni być ukarani!

Uświadamiamy sobie, że nie wszystkie zachcianki muszą być spełniane? Że inni mają prawo mieć swoje priorytety, mogą się mylić, być pokręceni, a nawet być źli? Że „oni” też mogą uczyć się na błędach i nie muszą każdego lubić? Że świat nie jest i nie musi być sprawiedliwy? Pamiętamy, jak korzystaliśmy, gdy świat nie był sprawiedliwy na naszą korzyść? Nie powinniśmy więc się złościć, gdy szala przechylił się na drugą stronę. Warto koncentrować umysł na problemie, który frustrację powoduje.

By unikać złości warto oduczyć się przemawiania ex cathedra, krytykowania, oceniania. W tym też jest ukryte przekonanie, że my wiemy lepiej. Warto okazywać ludziom uwagę i słuchać? Obwinianie innych o nasze niepowodzenia prowadzi do cierpienia. Cierpimy – też indywidualnie i „narodowo”. Może nazwiemy to cierpiętnictwem? Bo czyż – wskazując naszych „winowajców” – nie znajdujemy w tym usprawiedliwiania własnych niepowodzeń? Anthony de Mello kojarzy to z identyfikacją własnego „ja” z tym, co zewnętrzne – sukcesami i porażkami, z etykietkami stosowanymi wobec siebie i innych. Píše: „Cierpienie jest znakiem kontaktu z prawdą.

Cierpienie dane jest ci po to, abyś otworzył oczy na prawdę, żebyś mógł zrozumieć, że gdzieś jest jakiś fałsz, tak samo, jak ból fizyczny mówi o jakiejś niewydolności, o chorobie. [...] Kiedy twoje złudzenia zderzają się z rzeczywistością, kiedy fałsz zderza się z prawdą, wówczas pojawia się cierpienie”⁷².

Ludzie niepewni samych siebie boją się, są sfrustrowani, agresywni. Boimy się, że jakaś konstrukcja, wdrukowane, przyswojone przekonania, że to wszystko nam się rozwali? Lękamy się nieznanego. Czujemy zagrożenie przed ludźmi, „innymi”, których nawet nie spotkaliśmy. Dajemy sobą manipulować tym, którzy nasze obawy podsycają? Padają słowa, które – nie mając odniesienia do rzeczywistości – wyzwalają w nas wielkie emocje! Zaczynamy więc widzieć coś, czego nie ma. Strach!

Strach też jest uczuciem zatruwającym duszę i powodującym cierpienie. Trudno sobie z nim radzić, gdyż strach przed zagrożeniem to warunek przetrwania. Ale wyolbrzymiony szkodzi!

Nie bójmy się bać. Czując swój strach, zróbmy to, czego się boimy! Nie jest to mniej przerażające niż życie w lęku wypływającym z poczucia bezradności? Warto zmienić podejście do lęku, przejść z pozycji cierpienia do pozycji siły? Cierpienie powodują i wzmacniają takie uczucia, jak bezradność, przygnębienie oraz bezwład. Siłę – poczucie wolności wyboru oraz działanie. Cierpienie możemy wyprzeć zmieniając też język, w jakim myślimy i mówimy...

A przy tym, jak twierdzi de Mello, strach jest u korzeni gwałtu. „Ignorancja i strach, ignorancja wypływająca ze strachu. Wszelkie zło pochodzi ze strachu i każdy gwałt z niego się bierze. Gdy obawiasz się czegoś, stajesz się zły”⁷³.

Czy u źródeł lęku tkwi wstyd, który nie pozwala na samoakceptację? (Jak ktoś mógłby mnie akceptować, skoro ja nie akceptuję siebie?) Możemy go unikać, gdy ukrywamy swoją skażoną naturę. Udajemy kogoś innego. Wymyślamy nowe życiorysy... i gramy inne role. Ale, źle zносimy krytykę. Czy jednak jednocześnie sami nie



krytykujemy, obwiniamy, moralizujemy i osądzamy innych? Czy próbujemy przerzucić własny wstyd na naszych „winowajców”? Czy nie przeplatamy samoponiżania z wynoszeniem się nad innych?

Skrywamy wstyd. Np. „Ludzie pragnący ukryć wstyd chętnie poszukują takich ról społecznych i stanowisk, które z definicji dają władzę. [...] Władza stwarza im możliwość znalezienia ujścia dla gnębiących ich podświadomość urazów”⁴. Nie wszystkim jest to dane, ale sposobów jest więcej. Wstyd jest dziedziczony. Także przez sekrety rodzinne. Także – pochodzenie narodowe czy społeczne. Sekrety trwają czasem przez wiele pokoleń. Czy my Polacy nasiąknęliśmy takim dziedzicznym wstydem, poczuciem gorszości? Naszej trudnej historii nigdy nie przepracowała kultura. Mamy możliwości obwiniania innych za cierpienia. Nie musimy szukać wstydu zepchniętego głęboko do podświadomości narodowej? To jest przyczyną, że nie bardzo ceniamy samych siebie, jesteśmy niezwykle drażliwi na punkcie własnej wartości? Mamy trudność z uznaniem, że trzeba pokochać siebie po to, by kochać bliźniego swego jak siebie samego.

Negatywne uczucia często łączą się z brakiem asertywności i empatii. Będąc asertywnym bronię swoich praw bez użycia przemocy, jeśli tylko to możliwe. Bez oskarżania i obwiniania innych o moje problemy. Gdy brak nam asertywności cierpimy i obwiniamy o to innych. Empatia sprawia, że jesteśmy w stanie przeniknąć w głąb drugiego człowieka, poczuć jego bliskość. To sprawia, że w napotkanym człowieku – także tym „obcym” – umiemy zobaczyć siebie.

Thumimy własne uczucia? Zawstydzamy je?

„Pomyślałem o wstydzie pańszczyźnianego chłopca, który na co dzień odczuwał swoje półczłowieczeństwo [...] Pomyślałem o wstydzie elit politycznych narodu podbitego i trzymanego w niewoli, które poczucie własnych klęsk i niepełnej wartości, tłumilo, obwiniając o wszystko wrogów. Pomyślałem o dziedzicznym przez wiele pokoleń i doświadczanym raz po raz od nowa wstydzie polskiej inteligencji pochodzenia żydowskiego, której przedstawiciele nie tylko

sami dokonali wiele, by się spolonizować, ale również współtworzyli kanon kulturowych symboli polskości i dawali dowody patriotyzmu. Niemniej jednak stale słyszeli od „prawdziwych” Polaków, że nie należą do narodu, że stanowią obcą, gorszą i wrogą mniejszość. [...] Pomyślałem o wstydzie formalnie obywateli a praktycznie poddanych w kraju rolnio-przemysłowego feudalizmu, którzy nie mieli żadnych praw i mogli co najwyżej dopraszać się łaski jaśnie wielmożnego pana, a później sekretarza partii, urzędnika państwowego, dyrektora folwarku przemianowanego na PGR lub fabrykę...”⁵. Te słowa są usprawiedliwieniem naszych dzisiejszych zachowań? Nie, nie! Autor myśli o teraźniejszości: Potrafimy korzystać z wolności, jeśli nie uświadomimy sobie i nie przerobimy wstydu, skumulowanego w nas przez historię? Czy rozwiniemy narrację typu: „Oni” nas, niewinnych i cierpiących, zawsze krzywdzili i krzywdzić nie przestają?

Czas wyciągnąć wnioski z przeszłości i nabrać do niej zdrowego dystansu. „Onych” zmienić nie damy rady – zmieniać możemy siebie! I – jeśli jakiś Pawlak miał złe doświadczenia z jakimś Kargulem, to do końca życia ma to wywierać na niego wpływ?

*

Nie podoba mi się ten tekst. Stać mnie na lepszy. Byłby lepszy, niewątpliwie, gdyby nie „oni”, którzy... A może raczej ma de Mello: „Jeśli ktoś pragnie czegoś w nadmiarze, to wówczas na ogół pakuje się w kłopoty”.

Leszek MAŃKOWSKI

Foto: Autor

PRZYPISY

¹ W. Osiatyński. Drogowskazy. Wyd. Iskry. Warszawa 2013.

² A. de Mello. Przebudzenie. Wyd. Rebis. Poznań 1992.

³ A. de Mello. op. cit.

⁴ W. Osiatyński. op. cit.

⁵ W. Osiatyński. op. cit.

Podlasie

cz. 2

Zapiski z letnich podróży

Kolejnym etapem poznawania miejsc sakralnych na Podlasiu było zwiedzanie Tykocina, przed wojną drugiego co do ważności centrum kultury żydowskiej w Polsce (po Krakowie). To nieduże miasteczko ma ponad 2000 mieszkańców. Szczyci się jednym z największych rynków w kraju, powstałym po pożarze w 1656 r., z barokowym założeniem w kształcie trapezu, otoczonym niską zabudową z początku XVIII w. Z jednej strony zamyka go piękna fasada kościoła św. Trójcy z dawnymi zabudowaniami klasztoru i seminarium (obecnie plebania), z drugiej zabytkowe kamieniczki mieszczańskie. Na rynku stoi na wysokim cokole pomnik Stefana Czarnieckiego w stroju szlacheckim z buławą w dłoni, z inskrypcją łacińską dotyczącą nadania mu starostwa tykocińskiego. W Tykocinie często przebywali królowie i książęta polscy, wśród ponad 100 zarejestrowanych obiektów zabytkowych są też ruiny zamku Zygmunta Augusta. Było to miasto prywatne, później królewskie. Jest jednym z niewielu z zachowanym dawnym układem przestrzennym. Zaraz za Dużym Rynkiem znajduje się Mały Rynek, centrum dawnej dzielnicy żydowskiej. Przed wojną i holokaustem Żydzi stanowili połowę ludności Tykocina. Dopiero od niedawna rewitalizuje się zabudowania tej części miasta. Wielka Synagoga i Mała Synagoga zostały zamienione w muzea kultury żydowskiej dopiero w 1977 r. W czasie wojny hitlerowcy zamienili je na magazyny, taką samą funkcję pełniły przez 30 lat w PRL. Obie zbudowano w stylu renesansowo-barokowym w połowie XVII w. Były centrum intelektualnym podlaskich Żydów (w Małej Synagodze mieścił się dom talmudyczny i szkoła kahalna). Obecnie w muzeum przechowuje się uratowane bogate zbiory judaików: zabytkowe zwoje Tory, tasy, tałesy, tefiliny, me-

nory, besaminki... Przewodnik precyzyjnie tłumaczy znaczenie wielu kultowych przedmiotów, opowiada o historii nacji i tradycjach. W czasie mojego pobytu trafiłam na grupę młodych Żydów z Portugalii w charakterystycznych jarmułkach, których obecność nadała przestrzonnemu, na 9 m wysokiemu wnętrzu, nieco dawnego kolorytu.

W centrum świątyni znajduje się wysoka bima na 4 filarach, z baldachimem, wewnątrz której mieści się szulham (stół do rozkładania Tory), na ścianach renesansowe dekoracje z motywami zwierzęcymi i roślinnymi oraz teksty hebrajskie i aramejskie, całość pięknie polichromowana. Widziałam już kilka zabytkowych synagog w Pradze i Krakowie, ta w Tykocinie urodą wnętrza dorównuje tym najbardziej znanym.

W piwnicach Małej Synagogi mieści się restauracja Tejsza, gdzie można posmakować przysmaków kuchni żydowskiej, pierogi są rewelacyjne. Pieczone jabłka z cynamonem i bakaliami na deser są bardzo smakowite.

Wystrój nawiązuje do mieszczańskiego wnętrza, doskonale można tu odpocząć. W 1992 r. w muzeum i restauracji gościł ówczesny prezydent Izraela – Chaim Herzog.

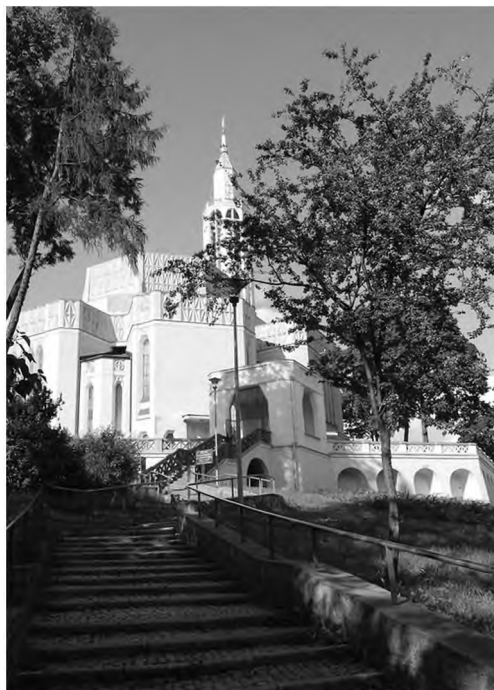
Na koniec chciałabym opisać kościół katolicki w Białymstoku, którego architektura wręcz mnie zachwyciła. Ten zbudowany w latach dwudziestych w stylu modernistyczno-ekspresjonistycznym pod wezwaniem św. Rocha i Chrystusa Króla kościół bieleje z oddali, gdyż położony na niewielkim wzgórzu widoczny jest z wielu miejsc w mieście. Pomyślany był jako świątynia dziękczynna po uzyskaniu niepodległości Polski po I wojnie światowej. W 1926 r. rozpisano konkurs dla architektów, na który wpłynęło 70 projektów. Zwycięzcą został Oskar Sosnowski. Budowę rozpoczęto rok później, ale do wybuchu II wojny

jeszcze trwały prace wykończeniowe. Niemcy zamienili kościół na koszary, Rosjanie chcieli zrobić w nim cyrk. Po wojnie zakończono prace budowlane, jako jedna z niewielu budowli w mieście kościół nie ucierpiał podczas bombardowań i zaczął spełniać swą funkcję.

Architektura, moim zdaniem jest rewelacyjna, rzadko spotykana w budowlach sakralnych. Wiele elementów gwiazdzystych, począwszy od ogólnego planu, na stropach kończąc. Doświetlenie z kopuły. Duża przestrzeń i światło we wnętrzu, biel ścian i szlachetne drewno w ołtarzach... Artysta zastosował żelbet, wówczas zupełnie nowatorski materiał budowlany. Ja byłam zauroczona wnętrzem i w ogóle całym założeniem architektonicznym, dzieliłam się z przyjaciółmi wrażeniami. Zadziwiające jest, że wielu moich znajomych w tym roku zwiedzało wschodnią Polskę. Może przyczyniły się do tego notatki i zdjęcia na Facebooku, sama napisałam kilka będąc pod wrażeniem urody zwiedzanych obiektów. Na pewno wpłynął też na wybór wakacji lepszy dojazd, bardzo ciekawa baza noclegowa, miłe kawiarnie i restauracyjki z regionalnym menu, a przede wszystkim cudowna przyroda Puszczy Knyszyńskiej i rozlewisk Narwi.

Ula ŁUKOMSKA
malarka
Foto: autorka

Na prawo u góry: Kościół św. Rocha w Białymstoku –
schody. Na dole: wnętrze synagogi Wielkiej



Przemalował dzieło mistrza

Damian Rojek zwycięzcą konkursu Microsoft Surface Anty Luwr

Pod koniec roku 2017 Microsoft ogłosił konkurs Anty Luwr. Celem konkursu było udowodnienie, że malarstwo jako dziedzina sztuki nie traci na popularności, a dzięki fuzji tradycji i nowoczesności można przekraczać granice.

Uczestnicy mieli do wyboru 23 arcydzieła malarstwa z różnych epok. Na konkurs wpłynęło 1528 cyfrowo przygotowanych prac, które oceniane były przez 3-osobowe jury pod przewodnictwem Magdaleny Pankiewicz – uznanej na świecie ilustratorki. Za najlepszą uznano pracę śremianina Damiana Rojka, który cyfrowo przerobił obraz Paula Peela *The Bubble Boy*. Jury doceniło nie tylko pomysł autora, ale także pieczołowitość i dokładność z jaką autor oddał nawet najmniejsze załamania światła i cieni, a także delikatną naturę baniek.

„Dla mnie wybór obrazu Paula Peela był oczywisty. Od razu wiedziałem, co i jak chcę na nim namalować. Cyfrową przeróbkę zrobiłem na tablecie graficznym. Namalowałem robota, czerwone wiaderko z płynem na bańki mydlane i tak powstał futurystyczno-tradycyjny obraz. Chodziło mi o to, aby efekt mojej pracy wyglądał tak, jakby w momencie powstawania te obrazy zostały źle wykadowane”.

Na konkurs Damian wysłał trzy prace – oprócz zwycięskiej były to jeszcze cyfrowe wersje obrazów Rembrandta i Caspara Davida Friedricha. W nagrodę Damian otrzymał nowy model Surface Pro w zestawie z klawiaturą i piórem.

Gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów!

Zwycięską pracę Damiana możemy podziwiać na okładce tego numeru „Gazety Śremskiej”, poniżej obraz Paula Peela *The Bubble Boy*.

Ewa NOWAK

PS. Tuż przed zamknięciem numeru dotarła do nas wiadomość o kolejnym sukcesie Damiana. Jego praca *Wodny Samuraj* zdobyła Grand Prix w 8. edycji konkursu Zainspirowani Japonią. Do obejrzenia tutaj – <http://zainspirowanijaponia.pl/.../i-oto-sa-zwyciezcy-viii-e.../>



Noc jest z milczenia...

Warto przypomnieć

Tadeusz Kijonka Urodzony w 1936 roku w Radlinie Tadeusz Kijonka został za życia uznany za jedną z najwybitniejszych postaci Śląska. W 1960 roku ukończył Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Z Katowicami związał się w 1954 roku. W tym mieście, a dokładniej w dzielnicy Brynów, zamieszkał na stałe.

Był posłem na Sejm IX i X kadencji w latach 1985-91. W 1992 roku założył Górnośląskie Towarzystwo Literackie i przez 20 lat był jego prezesem. Od roku 1967 do roku 2013 był kierownikiem literackim Opery Śląskiej w Bytomiu.

Jako poeta debiutował w „Trybunie Robotniczej” w 1955 roku tryptykiem Konstantynopol Mickiewicza, za który otrzymał pierwszą nagrodę w studenckim konkursie organizowanym z okazji Roku Mickiewicza. W twórczości poetyckiej zawsze kroczył własną ścieżką, kierując się ku tradycji, konwencji, rymowi i rytmowi. Kontynuował idee romantyzmu. Kijonka jest też, a może przede wszystkim, autorem kilkudziesięciu utworów poetyckich osnutych na motywach śląskich. W swoich wierszach często wspomina czas dzieciństwa spędzony w Radlinie. Wydał również 44 sonety brynowskie w 2014 roku, poświęcone dzielnicy Katowic, w której mieszkał.

„Pisanie dla mnie to jest działalność bezinteresowna, nienastawiona na żaden zysk ani poklask, choć chcę poprzez tę aktywność wyrazić siebie i swoje istnienie” – mówił w swoim ostatnim, jak się okazuje, wywiadzie dla „Gazety Wyborczej Katowice”. Rok temu ukazał się kolejny tom poezji Tadeusza Kijonki *Słowo w słowo* pełen smutnych przemyśleń. „One towarzyszą mi od zawsze. Moja twórczość podporządkowana jest

zmaganiu się z pamięcią, cielesnością i śmiercią. Poza tym w ostatnim czasie zmagalem się z chorobą, która również odcisnęła na mnie swoje piętno” – zdradził poeta.

Również w ubiegłym roku, nakładem Wydawnictwa Śląsk, ukazała się świetna publikacja *Światy poetyckie Tadeusza Kijonki* stanowiąca najobszerniejszy jak dotąd wachlarz stanowisk krytycznych, a także sposobów czytania liryki poety z Brynowa. Ziemia, pamięć i ciało, a także: egzystencja, pochodzenie, wiara i uczucia – to motywy, które najczęściej przenikały się w jego twórczości, o czym we wspomnianym tomie pisze profesor Marian Kisiel, który razem z Tadeuszem Siernym jest jego redaktorem.

W latach 1995-2013 Tadeusz Kijonka był redaktorem miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”. W 2014 roku poeta został uhonorowany specjalną Nagrodą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego za „nieocenione zasługi dla kultury polskiej”. W 2016 roku Tadeusz Kijonka otrzymał tytuł „Honorowego Ślązaka”, który przyznano mu podczas 26. edycji konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku” organizowanego przez senatorkę Marię Pańczyk-Pozdziej.

W tym samym roku publicysta był też nominowany do „Cegły z Gazety”, nagrody przyznawanej osobom, które promują śląskie wartości. Nominację przyznał mu profesor Marek Szczepański. Między innym dlatego, że jako jeden z nielicznych poetów pisywał w tych czasach sonety. Poeta otrzymał także m.in. Śląski Szmaragd (2012), Nagrodę im. Wojciecha Korfańskiego przyznaną przez Związek Górnośląski (2002)



Foto: Piotr Pieczykolan

oraz Brązowy Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis (2006). Tadeusz Kijonka odszedł w wieku 80 lat. Swoje okrągłe urodziny hucznie świętował w listopadzie minionego roku w Operze Śląskiej w Bytomiu, w której przepracował prawie pół wieku, w gronie rodziny i przyjaciół.

Na podstawie dostępnych informacji z zasobów internetowych pracował: Adam LEWANDOWSKI

A my...

Noc jest z milczenia skrzydeł ptasich
Gwiazdy z mądrości sowych oczu
Rozkute w planetarnym czasie
Po grzbiecie nieba światło toczą

Modlitwa jest z wzniosłości dzwonów
Z zadumy kaplic i organów
Z różańca półuśpionych domów
Co na mszę pod kościołem staną

A my z wiecznego niepokoju
Z przelotów wiatru z garści cienia
Z brzoź przedwiecznych które stoją
Nad cichą rzeką zamyślenia

A my z harmonii i rozdzwieku
Niecierpliwości strun spragnionych
Które od bólu łzami pękają
Pod gniewem rozpalonych dłoni

Niebezpieczna opowieść

W hołdzie Wiławie Szymborskiej

– Dziadku, powiedz bajkę! – ryknęły chórem dzieci.

– Obiecaliście dać mi spokój w tym tygodniu.

– Ty też obiecałeś! – warknęła Wiśka, liderka podwórkowej społeczności.

– Dobrze. Opowiem kolejną baśń, chociaż nie wiecie, ile mnie to kosztuje.

Gdy rozpoczął, dzieci z zachwytem pootwierały usta. Odpłynęły do wykreowanych przez starca łądów; poczuły ciepło promieniujące od dobrych bohaterów i ciarki przechodzące po plecach, gdy w opowieści pojawiła się zła postać. Trans trwał aż do zakończenia, które, jak zwykle, było szczęśliwe i wszystkich satysfakcjonujące.

Wrócił do domu zrezygnowany. Wieczorem włączył radio, zajrzał do paru książek, ale na niczym się nie skupił. Wiedział, że w nocy przyjdzie dżin.

– Nie śpij, staruchu! – usłyszał głos. – Jak ci dzisiaj poszło?

– Nie kpij ze starego człowieka. Nawet jeśli stłukł butelkę.

– Ojoj, od razu „Nie kpij”. Pamiętaj, że jestem ci wdzięczny! Po tylu latach wreszcie odzyskałem wolność i znów cieszyć się życiem.

– Więc daj mi spokój.

– Wiesz, że nie mogę. Jesteśmy z sobą związani na dobre i złe. Do końca.

– Mojego końca.

– Oczywiście, że twojego – dżin nie miał zamiaru maskować szyderstwa.

– Chciałbym, żeby już nastąpił.

– Również nie mogę się doczekać. Chętnie bym ci pomógł, ale mi nie wolno.

– Krzywdzisz mnie niemal codziennie.

– Ech tam, zaraz krzywdzę! Po prostu ustawicz- nie spełniam życzenie.

– W sposób karykaturalny.

– Chciałeś być sławny i podziwiany? Więc podziwiają cię wszystkie dzieciaki z podwórka. Ale ubaw!

Starzec westchnął, podrapał się po siwej brodzie i rzekł:

– Przestanę opowiadać baśnie.

– To dobrze. Wtedy umrzesz.

– Jesteś pewien?

– Taka była umowa. Ja daję ci sławę, a ty troszczysz się o nią do końca życia.

– Nienawidzę bachorów, baśni i fantasmagorii. Nie lubię opowiadać, to koniec!

Dżin uważniej przypatrzył się dziadkowi. Chciał się upewnić, że stary nie żartuje, że rzeczywiście znajduje się na skraju załamania, z którego tylko krok do rozwiązania ostatecznego.

– A więc kiedy?

– Jutro opowiem ostatnią baśń.

– Nie zgrywasz się?

Starzec zamiast odpowiedzi, wolno wycedził słowa:

– Powiedz mi jedno... na zakończenie. Zawsze chciałem o to zapytać.

– Wał!

– Gdybym nie stłukł butelki...

– Ha! Wtedy zostałbym twoim sługą. A ty? Na pewno byłbyś znanym pisarzem! Muzyki nie lubisz, aktora bym z ciebie nie zrobił, polityką się brzydzisz. Zatem tylko w ten sposób mógłbym spełnić życzenie sławy. Kto wie, może dostałbyś Nobla?

Dzieci słuchały z zapartym tchem, a lży walczyły o pierwszeństwo z grymasami. Dziadek skończył opowieść i tym razem zamiast aplauzu reakcją była zupełna cisza. Pierwsza z odrętwienia wyrwała się Wiśka. Dała znak najlepszym koleżan-



Rys: Tomasz Mazurczak

kom oraz kilku chłopakom i wszyscy skryli się w kącie podwórka.

Gdy przyszedł dzin, dzieci były gotowe. Nie podejrzewający niczego niewdzięcznik poślizgnął się na skórcie od banana i został wepchnięty do butelki. Natychmiast skwaśniała mu mina i znikła zadziorność. Wiśka od razu wbiła korek, podnio-

śla butelkę na wysokość oczu i nie zważając, że było jeszcze za wcześnie na wypowiedzenie życzenia, rzekła:

– Chcę Nobla. Koniecznie z literatury.

Adam MROZEK

Zło bez końca

Zacząć się może w najróżniejszy sposób. Na ogół niezuważalnie. A potem wypadki toczą się jak kula śniegowa, aż do całkowitej katastrofy. Na przykład Ona pędzi może monotonne ale bezpieczne materialnie życie zatrudniając się jako gospośia i opiekunka zamożnej wiekowej Radczyni. Aż pewnego ranka chlebodawczyni umiera. Konsternacja. Co robić? Jedno wiadomo, że koniec wygody i trochę też życia na koszt nieżyjącej starszej pani. Więc policja czy mistyfikacja? Bo akurat Radczyni miała otrzymać większą gotówkę. Zastanawianie się nie trwa długo – z inicjatywą wychodzi Ona. Trzeba ukryć śmierć, a On – mąż tak udatnie naśladowujący głos i gesty pani domu, może przecież tylko na chwilę przebrać się, założyć perukę i stać się Radczynią. Listonosz się nie pozna, będzie trochę ciemno, no i w zasadzie to znajomy. Rzecz się udaje. Jest jedno ale, co dalej? Policja i tak się zorientuje, że nieboszczka opuściła ten świat już jakiś czas temu, a skąd ten późniejszy podpis kwitujący odebranie pieniędzy? Trzeba brnąć dalej – pochować Radczynię gdzieś ukradkiem a On musi grać jej rolę dalej. Początkowo protestuje. Ale z czasem wchodzi w nią jak schizofrenik w swoje wyobrażenie. I nie daje się już go stamtąd odwołać.

Sztuka Herberta Bergera *Nie strój zdobi nieboszczka* grana na scenie Teatru Miejskiego w Lesznie, należy do gatunku i strasznych i śmiesznych. A więc śmiechu na widowni ni brakuje, ale na końcu zawisa pytanie nie tylko o karę, która zapewne nastąpi, lecz o to co musiało się stopniowo dziać z moralnością Jego i Jej. Dlaczego tak łatwo przyszła im ta makabryczna decyzja. Znak zapytania o moralną kondycję współczesnego społeczeństwa staje się tak wyraziste poprzez mistrzowską grę Jana Peszka kreującego rolę Je-

go. Uwiarygodnia tym przemianę jaką przechodzi – początkowo z lękiem udaje Radczynię, potem coraz pewniej, aby w końcu się z nią utożsamić. Partnerują mu sprawnie Katarzyna Krzanowska jako Ona, spiritus movens oszustwa, i Błażej Peszek jako Listonosz.

Błażej partneruje też Janowi w sztuce *Pojedynek – zabawa w detektywa* Anthonego Shaffera granej na scenie leszczyńskiego teatru. W tej niby grze niby na serio, też pojawia się zło. Ale postaci wyrafinowanej. Inni są bohaterowie: pisarz, autor poczytnych powieści kryminalnych i aktor. Jeden zna się na intrydze, drugi na grze. Pojedynek tych dwóch profesji jest jedną warstwą sztuki, a tą która zdaje się pierwszoplanowa – to intryga kryminalna. Zamożny Pisarz zdradzany przez żonę z tymże Aktorem, zaprasza go na rozmowę. Tu nie ma jakiś wyrzutów, jest za to kusząca propozycja. Aktor włamie się do domu pisarza weźmie z sejfów drogocenną biżuterię i oboje z kochanką wyjadą w świat, gdzie będą wieść dostatnie, bez troskie życie. A pisarz wreszcie uwolni się od nieznosnej żony.

Wszystko jest przemyślane do najdrobniejszych szczegółów. Ale wypadki sprawiają, że gra może się odwrócić przeciwko jej autorowi. To Aktor może wygrać a potem znów pisarz. Jak w kryminalu napięcie stopniowo wzrasta, a kiedy już wydaje się, że wiemy kto i jak, następuje zwrot akcji. I znów nie wiemy kto wygra. W błyskotliwych dialogach obaj bohaterowie zaciemniają zło, przyciągając naszą uwagę na to co chcą, abyśmy sądzili. Pamiętajmy jednak, że w każdym kryminalu chodzi o wytropienie zła. I chyba jest to zadanie dla widza, aby pośród sytuacji na przemian komicznych i groźnych uchwycić sedno tej nie-

moralnej propozycji. Jan i Błażej Peszkowie wcielają się postaci jakby dla nich napisane. Jan w każdym szczególe wyrafinowany, a Błażej chropawy, jakby z grubsza ciosany. Ale to ich szczególne umiejętności aktorskie sprawiają, że po prostu stają się bohaterami tej sztuki, a równocześnie dają przesłanie, że to wszystko jest moralnie podejrzane i nie do usprawiedliwienia. Chyba, że to tylko gra, a nie zło bez końca.

Barbara NOWICKA



Herbert Berger, Nie strój zdo bi nieboszczyka, reżyseria Błażej Peszek, obsada: Katarzyna Krzanowska, Jan Peszek, Błażej Peszek, premiera 31 grudnia 2015r.

Pojedynek – zabawa w detektywa, na podstawie sztuki Anthonego Shaffera, przekład Cecylia Wojewoda, adaptacja tekstu Błażej Baraniak, reżyseria Błażej Peszek, scenografia Mariusz Twardowski, obsada: Jan Peszek, Błażej Peszek, premiera 24 października 2014 r.

Amor omnia vincit...

...et nos cedamus Amori – miłość wszystko zwycięża i my ulegamy miłości. Tak to brzmi u Wergiliusza, autora 10 eklogi czyli bukoliki lub sielanki – jak kto woli. Ale tych ostatnich słów wielki Andersen wypowiedzieć już nie zdołał. Zdarzył mu się bowiem nieprzyjemny wypadek – w tym momencie wypadła mu sztuczna szczeka. Konsternacja. Koniec idylli. A jego wykład o wszechogarniającej miłości pisarz miał wygłosić przed nie byle jakim audytorium, bo przed duńską parą królewską, całym dworem i szlachetnie urodzonymi. To miał być dla Andersena moment wielkiego triumfu. Potwierdzenie, że syn szewca i praczki doszedł na sam szczyt.

A tymczasem zdarza się kompromitacja. Wszyscy będą zapewniać, że nic się nie stało, pocieszać, ale Hans Christian Andersen wie, że choć tak honorowany, nigdy nie będzie jednym z nich. Będzie podziwiany, ale przecież nie kochany. I zawsze będzie ubogim chłopcem z Odense. Sztuka *Amor omnia vincit* jest poświęcona rozpamiętywaniu skomplikowanego życia pisarza. Na scenie pojawiają się białe jak upiory postacie, ze złowrogo błyszczącymi oczami. Przez cały spektakl trwać będzie ten korowód ludzi, którzy poznali się na utalentowanym chłopcu. Pchnęli go na drogę nauki, udzielali mnóstwa przydatnych wskazówek życiowych. Ale nie tego, czego



brakowało mu najbardziej – odrobiny zwykłego ludzkiego ciepła. Nigdy go nie zaznał. Może jedynie od babki, która obdarzyła go skarbem baśniowych opowieści. I to właśnie one miały mu później przynieść sukces i sławę. Jednak marzył przecież o teatrze. Próbował tworzyć „rzeczy poważne” – wiersze, powieści, sztuki teatralne. Baśnie miały być tylko twórczością obok tej dla dorosłych. A kiedy to one zaczęły przynosić mu rozgłos, pisał je już do końca życia.

Dramat Pera Olova Enquista, który wyreżyserował i przedstawił Rafał Domagała z Wydziału Sztuki Lalkarskiej, Akademii Teatralnej w Białymstoku, od początku ma tę wybijającą się cechę – w idyllicznym, bajkowym obrazie już czai się zło. I trzeba będzie pokonać wiele przeszkód, aby je przezwyciężyć. Wystarczy przywołać którąkolwiek z bajkowych opowieści Andersena, aby rozpoznać tę prawidłowość. Jakby w pączku pięknej, pachnącej róży już rozgościł się robak zniszczenia. Takie są wszystkie jego baśnie i takie też było życie pisarza. Niby to wszystko wiemy – trudne, ubogie dzieciństwo, dobrzy ludzie, którzy pomogli wydobyć z biedy i umożliwić realizować się jego talentowi. Ale sztuka prezentowana na scenie Teatru Miejskiego w Lesznie uświadamia na to sposób niezwykle dojmujący. I unaocznia jakiś wszechobejmujący chłód, pogłębiający się w miarę trwania spektaklu.

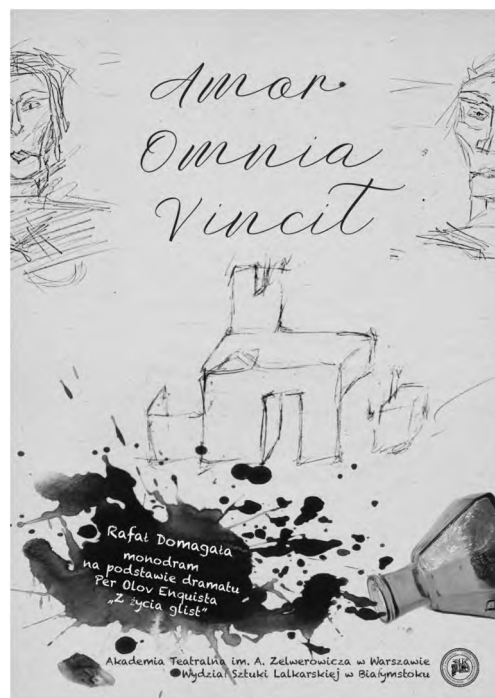
Na scenie z ciemności wyłaniają się naturalnej wielkości lalki. W ciemnym tle, w ciemnym kostiumie – aktor i animator. Na początku dostrzegamy tę wielość, ale już wkrótce jego głos i gest staje się głosem i gestem lalek – bohaterów. Stapia się w jedność. I trwa ten przejmujący dramat w całkowitej ciszy. Fascynacja jest taka, że oczu nie można oderwać.

Nic dziwnego, że spektakl teatru ożywionej for-

my autorstwa Rafała Domagały otrzymał już tak wiele nagród. I jest wspaniałą wizytówką białostockiej uczelni, której absolwenci prowadzą niemal połowę teatrów lalkowych w Polsce.

Barbara NOWICKA

Per Olov Enquist, Amor omnia vincit, przekład Andrzej Krajewski-Bola, reżyseria i wykonanie Rafał Domagała, praca egzaminacyjna III roku z przedmiotu „teatr ożywionej formy”. Pokaz w Teatrze Miejskim w Lesznie – czerwiec 2017 r.



Hanna Bednarczyk-Janowska

Ludzie, których spotkałem

Jest jedną z niewielu osób, które tak dobrze poznałem, na których nigdy się nie zawiodłem. Jedną z niewielu, które długo przekonywałem, że warto, abym o niej napisał...

Niedługo minie ćwierć wieku naszej znajomości – okres raczej wystarczający na „zjedzenie beczki soli”; a przy tym – pozwalający na wyrobienie dystansu do minionych wydarzeń.

Pierwsze spotkanie, gdy świeżo upieczona nauczycielka przyszła do „Dwójki” w sprawie zatrudnienia. Od razu Pani Hania dała się poznać jako sympatyczna, komunikatywna osoba z dużą osobistą kulturą, wiedząca, o co mniej więcej w szkolnej pracy chodzi. Czułem, że powiedzenie „obyś cudze dzieci uczyła” zawsze będzie dla Niej dobrym życzeniem, lepszym od banału „wszystkiego najlepszego”. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu przez 19 lat naszej wspólnej pracy.



Hanna Bednarczyk-Janowska – nauczycielka z klasą! Z tych, które swą postawą przyczyniają się do tworzenia dobrego wizerunku szkoły. Podnosi kompetencje, zdobywa kolejne kwalifikacje. Gdy wyższe wykształcenie spowszedniało, wyróżnia się ukończeniem dwóch fakultetów (jest magistrem pedagogiki i magistrem psychologii). A jeśli dodamy te wszystkie studia podyplomowe, których liczbę trudno mi określić... Nie tworzy kolekcji dyplomów, wykorzystuje nabytą wiedzę. Jest pełna pomysłów. Szereg autorskich programów, dodatkowe zajęcia na rzecz adaptacji i integracji uczniów, akcje charytatywne... Pomaga rodzinom w sytuacjach trudnych. Kompetentna, konkretna, rzetelna, szczerza, komunikatywna, kulturalna, życzliwa, otwarta, uczciwa – nic dziwnego, że cieszy się zaufaniem uczniów, rodziców, współpracowników.

Nigdy nie stała w miejscu. Widziałem rozwój – i ten zawodowy, i osobowościowy. Szybko dało się zauważyć, że jest coraz bardziej samodzielna i kreatywna. Że należy do tej mniejszości nauczycielskiej, wobec której rola szefa nie jest nakazywanie, czy narzucanie sposobów działania. Że wystarczy nie przeszkadzać, czasem coś doradzić, no i – pomagać. Z czasem stała się mentorem dla nauczycieli, pomagając szczególnie młodszym, początkującym. Organizowała, prowadziła prace nauczycielskich zespołów.

Co pamiętam? Pracowitość z tendencją do perfekcjonizmu. Obowiązkowość, lojalność, dyskrekcję. Asertywność i empatię (wyważone). Nie należała do potakiwaczy. Nie wahała się mówić, co myśli – dyrektorowi też. Zawsze szczerza, w krytyce również. Nie starała się niczego „ugrać” dla siebie.

Od początku nadawaliśmy na tych samych falach. Że różnica pokoleniowa? Żaden problem: można się od siebie uczyć. Okazji było mnóstwo. Sama znajdowała sobie dodatkowe zajęcia z uczniami. Mocno zaangażowała się we flagowe dla szkoły projekty, jak „Szkoła z klasą” czy „Śremsong”. Ten drugi to szczególnie rozdział – wiele lat, mnóstwo pracy przed i w trakcie. Bez spoglądania na zegar bądź portfel. Praca nie zawsze zauważona – widzi się „frontmena”, a warto nie zapominać o ludziach, bez których... Długo to lubiła. Mistrzynie drugiego planu!

Sporo „zdziałaliśmy” wspólnie. Była współpraca z Mogilnem, tamtejszymi szkołami i wiążące się z tym coroczne wyjazdy. Byliśmy „artystami” – razem stworzyliśmy kilka filmów. Mnóstwo pracy, dyskusji, poszukiwań. Efekty – udział w festiwalach filmowych, radość z II Nagrody w 2002 r., gdy w międzynarodowym gronie wyprzedzili nas tylko Amerykanie! Aha, w CV jest też wspólne aktorzenie w nauczycielskim teatrze. Dużo razem zrobiliśmy, m.in. przeprowadziliśmy i opublikowaliśmy badania dotyczące agresji w naszych gminnych szkołach.

Szkolny rozdział skończył się 6 lat temu (mój awans na dyrektora-seniora). Niedługo potem Pani Hanna zamieniła śremską Dwójkę na szkołę w Dąbrowie.

Ale były (i są) kontakty prywatne. Wiele razy proponowałem Hani przejście na „ty”. Mówiąc: „Haniu...”, słyszałem: „panie dyrektorze”! Uparcie powtarzała, że stanie się to, gdy przestanie być jej szefem i słowa dotrzymała. Dopiero teraz, kiedy wypadałoby okazać większy szacunek dla seniora, Hania bez skrupułów mówi mi po

imieniu. Ot, zasady...

Rozmawialiśmy, nie przenosząc spraw na grunt służbowy. Żartowaliśmy, np. z niepohamowanej obowiązkowości i nie ustaliliśmy, czy „winne” jest tylko DNA... Hanna ma poczucie humoru i dystans do siebie. Dowodem ta, wybrana z licznych propozycji, fotografia z „festiwalowej” Warszawy (że też nie użyłem aparatu jeszcze raz – gdy patyk został już ogłoszony z cukrowej waty).

Teraz rzadziej rozmawiamy „face to face” (często piszemy). Pozostały otwartość, szczerość, życzliwość. Wiemy do kogo w potrzebie zwrócić się o pomoc, radę. Jeśli to nie jest przyjaźnią, to co nią jest?

Chciałem, żeby p. Hanna przeczytała tekst przed wysłaniem go do redakcji. Oznajmiła, że nie czuje potrzeby „autoryzowania”, bo ma do mnie zaufanie.

Pytam więc teraz, Haniu: Pomiąłem coś? Zapomniałem? Jednego jestem pewny – Twoja opinia będzie szczerą!

Leszek MAŃKOWSKI
Foto: Autor

Tamte dni, tamte noce

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

Oglądając nominowany do czterech Oscarów film twórcy *Nienasyconych*, cały czas miałam przed oczami perełkę Bernardo Bertolucciego z 1996 roku pt. *Ukryte pragnienia* (o której pisałam parę numerów temu) czyli lato, włoskie słońce, wino, sztuka, wylegiwanie się nad rzeką... Jest to film o najpiękniejszym, co nam się może w życiu wydarzyć, czyli o wielkiej miłości. W dodatku okoliczności rozkwitu tego uczucia też są bardzo piękne, gdyż akcja rozgrywa się w XVII-wiecznej willi znajdującej się w północnych Włoszech, a do tego mamy pełnię lata. Wyobrażacie sobie bardziej sprzyjające warunki do rozwoju uczucia? Jeden z poprzednich filmów Luki Guadagniniego *Jestem miłością* dawał nam podobne wrażenie przeżywania z bohaterami czegoś niezwykłego, tyle że tym razem mamy do czynienia z autentyczną świeżością uczuć kogoś, kto przeżywa wszystko pierwszy raz, w dodatku w niemal doskonały sposób. Na ekranie widać idealnie uchwyconą miłosną magię i to nic, że film jest długi, tempo powolne, a dramatyczne zwroty akcji w tym świecie nie istnieją. Od tego jest kino, by czasem nas zabrać do krainy szczęśliwości i piękna, gdzie nic nie zniszczy ideału.

Mamy rok 1983, lato. Siedemnastoletni Elio Perlman i jego rodzice to amerykańscy Żydzi osiadli w północnej Italii. W sielankowej atmosferze przepełnionej antyczną duszą prowincji wspólnie czytają Goethego w oryginale, rozprawiają o francuskiej literaturze i oglądają znaleziska archeologiczne z czasów starożytnego Rzymu. Amerykański tato, profesor Perlman specjalizuje się w kulturze antycznej, a uroczą francuską mamą jest tłumaczką. Nic więc dziwnego, że Elio mówi biegle w trzech językach i dla rozrywki słucha muzyki poważnej, którą także gra i kom-

ponuje. Nieprzeciętnie inteligentny, wrażliwy i odczytany młodzieniec żyje sobie niczym pączek w maśle, aż do czasu, gdy do willi zawita stypendysta profesora, piękny niczym grecki posąg, Oliver. Pewny siebie i będący panem każdej sytuacji Oliver wprowadza zamęt w umyśle siedemnastoletniego syna gospodarzy. Mimo tego młody mężczyzna i nastolatek nie od razu się polubią. Jednak ich relacja z fazy niechęci, a potem męskiej przyjaźni, szybko przerodzi się w coś głębszego. Nim minie lato, panowie będą w sobie bezgranicznie zakochani.

Jeśli spodziewacie się dramatów, społecznego ostracyzmu czy choćby tragicznych scen z udziałem rodziców nastolatka, którzy nie mogą się pogodzić z seksualnością syna, to się rozczarujecie. Ten film nie ma z mrokiem, frustracją, czy wykluczeniem nic wspólnego. To raczej radosna afirmacja życia z wszelkimi jego zmysłowymi przejawami. Uczucie bohaterów jest głębokie i czyste, a do tego idealnie piękne i intensywne ze względu na ograniczenie czasowe. Pomijając preferencje dotyczące płci, takiej pierwszej miłości, jaką los podarował Elio, każdy widz mógłby sobie życzyć, a przede wszystkim tak wspierających i życzliwych rodziców.

Nie dzieje się tu wiele, a jednak dzieje się wszystko co najważniejsze. Są emocje związane z niepewnością, pierwszym zbliżeniem, potajemnymi pocałunkami i nocnymi schadzkami. Widzieliśmy to już na ekranie, a jednak tym razem udało się opowiedzieć o miłości w zupełnie inny, bardziej autentyczny sposób. Naprawdę podoba mi się to, że to właśnie taki film, w którym nie ma ciemnej strony, przemocy, jakimi epatuje współczesne kino, nawet jeśli przez to fabuła razi ba-



Foto: materiały prasowe filmu

śniowością. No i ci ludzie! Kiedy ostatni raz widzieliście film bez choćby jednego czarnego charakteru? Tutaj wszyscy bohaterowie sprawiają wrażenie jakby na poważnie do serca wzięli sobie starożytny ideał dobra i piękna, żyją mądrze, są uprzejmi i ciepłi, okazują sobie wsparcie i mają świadomość, jak to całe piękno dookoła nich jest ulotne. *Tamte dni, tamte noce* to spa dla duszy i film, który powinien stać się treścią wspomnień każdego z nas, gdy myślimy o nastoletnich fascynacjach. Ten film jest jak zapis wspomnień, zbiór wytartych przez czas pocztówek z przeszłości, przejaśniony świat trochę nienaturalnych kolorów.

Relacja obu bohaterów na ekranie wypada bardzo naturalnie. Duża w tym zasługa Armiego Hammera; Amerykanin znany do tej pory raczej z dość mało wyrazistych drugich planów, świetnie wcielił się w swoistą personifikację fantazji nastolatka, nadał głębi i wielowymiarowości tam, gdzie to nie było oczywiste. Prawdziwy koncert daje również partnerujący mu Timothée Chalamet. Młody aktor w kilka miesięcy z nikomu nieznaney postaci wskoczył do pierwszej ligi Hollywood, zdobywając między innymi worek

nagród za ten występ. Trudno się dziwić takiemu obrotowi spraw; młodziutko wyglądający dwudziestodwulatek w tutejszej, zaskakująco skromnej i opanowanej roli pokazuje gigantyczną skalę talentu i umiejętności. Na szczególne brawa zasługuje końcowa, towarzysząca napisom scena. Swoiste emocjonalne podsumowanie całego obrazu.

Piękne kino! Gorąco wszystkich zachęcam!

Joanna CHMIELEWSKA

Tamte dni, tamte noce

(tytuł oryginalny *Call me by your name*)

reżyseria: Luca Guadagnino

scenariusz: James Ivory (na podstawie powieści Andre Acimana)

produkcja: Brazylia, Francja, USA, Włochy

premiera: 22 stycznia 2017 (świat),

26 stycznia 2018 (Polska)

Wojna i pokój Chimamandy Ngozi Adichie

Z górnej półki

Nigeria jest najbardziej zaludnionym krajem w Zachodniej Afryce. Jest też państwem wiecznie targanym niepokojami, z trudną, skomplikowaną historią. Przywykło się myśleć, że wszystkie krwawe zamieszki wybuchające co jakiś czas w Afryce, spowodowane są bliżej niezrozumiałymi antagonizmami plemiennymi. Brzmi to trochę lekceważąco, bo wyobraźnia podpowiada nam zaraz obraz dzikich nagusów okładających się dzidami z powodu duchów przodków. Ale czym różniły się europejskie pogromy Żydów i Romów? A gwałtowne walki muzułmanów z hinduistami w Indiach? Ataki terrorystyczne? Masakra Kurdów? Wszystkie te akty przemocy nie są niczym innym, jak „antagonizmami plemiennymi”, spowodowanymi niechęcią do obcych, czy innowierców. W tym sensie, wszyscy jesteśmy dzikimi nagusami.

Nigeryjski holokaust miał miejsce w końcu lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku i dotknął dwa miliony ludzi, w największym stopniu Ibów, grupę etniczną zamieszkującą wschodnie tereny Nigerii. Jest to lud, którego pradzieje sięgają starożytności, Ibowie pochodzą prawdopodobnie z Egiptu. Mimo że zostali przez brytyjskich misjonarzy „oświeceni” w duchu chrześcijańskim, to dokonywane na nich ludobójstwo, a także świadome zagłodzenie tysięcy kobiet i dzieci, niespecjalnie w tamtych czasach wzruszyło Europę, ani tym bardziej Amerykę, która nota bene właśnie wtedy przeżywała swoje własne problemy – próbowała skończyć z segregacją rasową...

Autorka, Chimamanda Ngozi Adichie, jest Nigeryjką pochodzącą z ludu Ibo. Kształciła się na uczelniach w Nigerii, Wielkiej Brytanii i w Sta-

nach Zjednoczonych. Jej rodzice byli związani z Uniwersytetem Nigeryjskim. A jej książka *Półka żółtego słońca*, uznawana za jedno z najbardziej znaczących dzieł XXI wieku, jest też jedną z najlepszych, jakie czytałam.

Jest to pięknie opowiedziana historia o ludziach. Nie tylko z nigeryjskiej klasy średniej, z różnych grup społecznych – od wieśniaków z buszu po wysokich urzędników.

Zaczyna się bardzo niewinnie. Główna bohaterka, Olanna, zakochuje się w charyzmatycznym wykładowcy matematyki, rewolucjoniście, jak nazywa go z przekąsem jej siostra bliźniaczka, Kainene, silna kobieta biznesu. W jakimś sensie Olanna, wiążąc się ze swoim profesorem, popełnia megalomanię, gdyż pochodzi z elity, z rodziny bardzo zamożnych, wpływowych przedsiębiorców. Siostra Olanny też zresztą wchodzi w nietypowy dla jej sfery związek z białym Brytyjczykiem, zagubionym mężczyzną, który z miłości do Kainene próbuje czerpać życiodajną siłę. A zatem, Olanna wybiera Odenigbo i dramatu nie ma. Ich życie toczy się bardzo przyjemnie – uczą, pracują, grają w tenisa, chodzą na przyjęcia. Wraz z przyjaciółmi, przy dobrej brandy i pikantnej zupie paprykowej, którą gotuje kuchareczka Ugwe, toczą filozoficzne i ideologiczne dysputy. Przy okazji zaś czytelnik nie tylko poznaje opinię nigeryjskich intelektualistów o brytyjskim kolonializmie, czy o tym, jak powinno wyglądać nowe sprawiedliwe społeczeństwo, ale także tajniki afrykańskiej kuchni – egzotyczne potrawy, przyprawy i warzywa. Razem z młodym, pochodzącym z buszu Ugwe, cieszymy się z nowoczesnych, nieznanych mu do tej pory udogodnień, jak woda z kranu, czy kuchenka gazowa i mamy

cichą nadzieję, że sielanka w cieniu afrykańskiej palmy nigdy się nie skończy.

Niestety, nadciągają burzowe chmury. Najpierw komplikuje się życia osobiste Olanny i Odenigbo. Potem, co gorsza, wskutek politycznych machinacji, na południu Nigerii wybucha nagle nagromadzona latami nienawiść przeciwko ludowi Ibo. W pogromach zginą setki ludzi, a masakra wywoła gigantyczny exodus. Dla Ibów stanie się to bezpośrednią przyczyną próby oderwania się od Nigerii i utworzenia własnego, bezpiecznego państwa – Biafry (1967 -1970). Profesor, jego partnerka i przyjaciele, zaangażują się całkowicie w tworzenie nowej ojczyzny. Jednak nieuchronna wojna z rządowymi nigeryjskimi siłami, ostatecznie zmieni ich sielankowe życie w koszmar.

Mimo przytłaczającego tematu, książka Adichie jest urzekająca. Nie tylko dlatego, że dzieje się w egzotycznym miejscu, wśród ludzi, których zwyczaje są dla nas nowe. Przede wszystkim za sprawą niezwykle talentu pisarki. Wiele postaci, pojawiających się na kartach tej grubej powieści, zostało obdarzonych osobną opowieścią. W ten sposób, w trakcie wojennej peregrynacji Olanny i Odenigbo, poznajemy także ich przypadkowych sąsiadów i ich losy. Szczególnie portrety afrykańskich kobiet są tworzone z miłością. Także konstrukcja powieści jest nietypowa – wątek urywa się kilka razy w ważnym momencie, po czym powraca dużo później, opowiedziany z perspektywy kilku miesięcy, co dodaje wiarygodności bieżącemu wypadkom. Akcja bez przerwy nas zaskakuje i naprawdę, trudno się od tej książki oderwać.

Chimamanda Ngozi Adichie opowiada o ludziach, także tych prostych, o ich wierzeniach, o afrykańskiej magii, ale też o uprzedzeniach i nieuzasadnionej nienawiści. O przyczynach rasizmu czarnych wobec białych i odwrotnie. O Brytyjczykach, którzy wybrali Biafrę za swoją ojczyznę i tych, którzy przyjechali tu, bo są najemnikami albo „lubili kolorowe kobiety”. Opisuje obozy dla uchodźców, które z braku lekarstw i pożywienia, stały się umieralniami dla dzieci i kobiet, a także bez ogródek mówi o niedwuznacznej roli duchownych, wykorzystujących głodne kobiety. Jednak nie brak na kartach jej

książki opisów solidarności i ogromnego wysiłku różnych ludzi, by sobie nawzajem ulżyć w cierpieniu.

Półówka żółtego słońca jest opowieścią o utraconym raz na zawsze raju, ale też o nadziei. Dzięki niezawodnemu pióru Adichie, Afryka otwiera się przed nami, oglądamy ją niczym w kalejdoskopie – barwną, niejednoznaczną i zaskakującą. Jednocześnie, jakkolwiek paradoksalnie to zabrzmiało, mimo że książka jest bulwersującym świadectwem potworności wojny, powieść pięknej Chimamandy Ngozi Adichie jest przepełniona miłością. I właśnie dlatego całym sercem ją Państwu polecam.

J.A.

Półówka żółtego słońca,
Chimamanda Ngozi Adichie, wyd. Zysk i Ska



NASZTALENT : Noemi Pawlak



Rocznik 1991. Mieszka i pracuje w Śremie. Żona. Matka dwóch synów. Właścicielka labradora. Zwolenniczka BLW, spania z dzieckiem, karmienia piersią i szeroko pojętego rozpieszczania dzieci. Blogerka.

<https://www.facebook.com/matkaprezesa1/>

<https://matkaprezesa.pl/>

Stworzyła coś z niczego, coś co nie było jej marzeniem od zawsze, chociaż pisać lubiła i o pisaniu myślała. Po prostu zaczęła to robić. „Nie przypuszczałam, że decydując się tamtego dnia na założenie bloga odmienię własne życie i stworzę sobie miejsce pracy, że powstanie miejsce-przystań dla wielu rodziców zagubionych po przedwczesnych narodzinach dziecka”. Po dwóch latach miała 5 tys. polubień swojego profilu, a po 5 latach ponad 40 tysięcy. 40 tysięcy osób śledzi jej wpisy na blogu <https://matka-> Stworzyła coś z niczego, coś co nie było jej marzeniem od zawsze, chociaż pisać lubiła i o pisaniu myślała. Po prostu zaczęła to robić. „Nie przypuszczałam, że decydując się tamtego dnia na założenie bloga odmienię własne życie i stworzę sobie miejsce pracy, że powstanie miejsce-przystań dla wielu rodziców zagubionych po przedwczesnych narodzinach dziecka”. Po dwóch latach miała 5 tys. polubień swojego profilu, a po 5 latach ponad 40 tysięcy. 40 tysięcy osób śledzi jej wpisy na blogu i facebookowym profilu i czeka na nowe. Oczekują porady lub po prostu odpowiedzi. Czekają na nowe wpisy, czytają, komentują, wymieniają się doświadczeniami, piszą o swoich problemach i sukcesach. Bo Noemi, choć bardzo młoda, ma bardzo duże doświadczenie z wcześniakami – obaj jej synowie urodzili się właśnie przed 37 tygodniem ciąży. Co sprawiło że jej blog trafił do tak szerokiego grona odbiorców? Noemi po prostu jest sobą, czasami silną dzielną matką, czasami nie daje rady, nie jest idealna (nawet nie próbuje), wysłuchuje, odpisuje, nie poucza – stara się raczej edukować, czasem ponosi wychowawcze porażki... I w tym chyba tkwi siła jej popularności. Na pytanie co robi i dla kogo, odpowiada: „Przed wszystkim pomagam rodzicom wcześniaków

przejąć przez wyboistą drogę – prowadzę grupę „Wcześniaki – dzieci przedwcześnie urodzone”, uświadamiam jak wygląda życie, kiedy zostaje się rodzicem za wcześnie i jakie to może mieć konsekwencje na resztę życia. Opisuję emocje i rozwiewam wątpliwości. Oczywiście nie jestem wszystkowiedząca, dzielę się tylko swoim doświadczeniem”.

Już wie, że musi być odpowiedzialna za słowo, za treść i konsekwencje swoich wpisów. I jest. Zrozumiała że jej „pisanie” to poważna sprawa, kiedy osoby, których nie знаła zaczęły dziękować jej za to, że stworzyła takie miejsce. I kiedy zaczęła być polecana w poradniach neonatologicznych przez lekarzy i psychologów.

Przyjemność, którą dawało jej pisanie, stała się pracą – to więcej niż etat – wpisy, odpowiedzi, stały kontakt z odbiorcami. W pewnym momencie doszły też kontakty z firmami z branży dziecięcej. Jej blog i strona nie są witrynami reklamowymi ale oczywiście poleca starannie wybrane produkty – zabawki, ubranka... Firmy same szukają już z nią kontaktu. Chce rozwijać swoją działalność, już teraz oprócz facebookowej Matki Prezesa, funkcjonuje strona... bo Noemi mimo braku biznes planu i przygotowania biznesowego świetnie i konsekwentnie buduje swoją markę, rozwija się, doczytuje, planuje i realizuje...

Bierze udział w spotkaniach blogerów, czasami pojawia się w telewizji – w 2015 i 2016 r. była gościem J. Owsiaka podczas WOŚP – w studio mówiła o wcześniactwie. Napisała też rozdział o karmieniu piersią wcześniaków dla kampanii Ministerstwa Zdrowia „Mleko mamy ma moc”. Planuje wydanie książki... Ale kiedy... Na razie nie ma na to czasu. Praca daje jej przyjemność i satysfakcję, nakręca do dalszego działania, a energii jej nie brakuje. Życzymy powodzenia!

JESTEM... sobą.

CHCIAŁABYM... zawsze mieć głowę pełną pomysłów i lekkie pióro.

MYŚLĘ... o nas.

INSPIRUJE MNIE... Meryl Streep.

POTRAFIĘ... słuchać.

LUBIĘ... pisać.

MUSZĘ... zmieścić wszystkie swoje pomysły w krótkim czasie życia.

ŻAŁUJĘ... że czas tak szybko ucieka i nie da się go na moment zatrzymać.

BOJĘ SIĘ... chorób i śmierci najbliższych.

Ewa NOWAK



KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

Zdzisław Żeleźny

Rocznik 1951. Urodzony w Radoszkowie. Od 1968 r. mieszka w Śremie. Historyk z wykształcenia i zamiłowania. Emerytowany nauczyciel historii. Radny Rady Miejskiej od 1998 r. Lubi podróżować, zwiedzać, poznawać nowe miejsca, dzielić się swoją wiedzą. Inicjator spacerów historycznych po Śremie. Współautor (z synem Bartoszem) Trasy Turystycznej po prawobrzeżnym Śremie.

1 Kim jestem...

Aktywnym emerytem.

2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Rodzina.

3 W czym jestem dobry...

Ocenę moich dobrych stron zostawiam innym.

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Wystarczy to co osiągnąłem, nie chcę być zachłanny.

5 Co chcę w sobie zmienić...

Niech lepiej pozostanie tak jak jest.

6 Co daje mi szczęście...

Szczęście najbliższych.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

Kiedy po chorobie samodzielnie wstałem z łóżka i zrobiłem trzy kroki.

8 U przyjaciół najbardziej cenię...

Lojalność i bezinteresowność.

9 Bohaterstwo to dla mnie...

To bezinteresowne poświęcenie się dla innych.

10 Epoka, w której chciałbym żyć...

Ta, w której żyję mi odpowiada.

11 Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Przykucie do łóżka i utrata samodzielności fizycznej.

Najcenniejsza rzecz jaką posiadam...

Okulary, bo bez nich nie mógłbym realizować mojej pasji, czyli czytania książek.

Moja największa wada...

Gadatliwość – na interesujące mnie tematy potrafię zagadać każdego.

Główna cecha charakteru...

Upór.

Moje motto życiowe...

Traktuj innych tak, jak chcesz by Ciebie traktowano.

Ulubiony dźwięk...

Aktualnie to odgłosy dochodzące z kuchni.

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Pisk hamujących samochodów.

Nie mógłbym żyć bez...

Ludzi.

Co wzbudza we mnie lęk...

Choroba.

Moje ukryte marzenie...

Raczej nie do spełnienia, ale chciałbym nauczyć się grać na gitarze.

Dar natury, który chciałbym posiadać...

Zdrowie, zdrowie, zdrowie i szczęście.

Zawsze śmiesz mnie...

Pewność siebie niektórych ludzi.

Słowo, którego nadużywam...

Mam pytanie.

Zdanie o mnie, które zapamiętałem...

„Proszę panią, tam jest wolne miejsce, niech pani usiądzie” – rzucone w moim kierunku.

Mysł, która pojawia się gdy nie jest najlepiej...

Inni mają gorzej.

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Wybaczę wszystko.

Wolność to dla mnie...

Życie po swojemu, bez szkody dla innych.

Kim chciałbym być gdybym nie był tym kim jestem...

Leśnikiem, zawsze fascynowała mnie przyroda.

Obecny stan mojego umysłu...

Aktywny, ciągle podrzuca mi nowe pomysły.

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Człowiekiem, który starał się robić coś dla innych.

Pasjonaci są wśród nas

W „Gazecie Śremskiej” często prezentowani są ludzie, którzy mają ciekawe zainteresowania, pasje, robią coś interesującego. Chciałabym przedstawić człowieka, który jest całkowicie oddany swemu miastu i jego historii. Jest nim Stanisław Wiśniewski, mieszkaniec Czempinia. Prywatnie jest człowiekiem wesołym, z dużym poczuciem humoru, ale też z pewnym dystansem do siebie. Zasluguje na uznanie, bo to czego się podejmuje, wykonane jest zawsze z największą precyzją. Urodził się 7 maja 1946 roku w Czempiniu i tutaj ukończył szkołę podstawową. Następnie został absolwentem Technikum Drzewnego w Jarocinie, Liceum Ogólnokształcącego w Poznaniu, Szkoły Kadetów Wojska Polskiego w Warszawie. Zajmowane stanowiska to pracownik produkcji mebli wzorcowych dla szkolnictwa, dyrektor Zakładu Poznańskich Fabryk Mebli oraz Swarzędzkich Fabryk Mebli. Zawód – technik drewna. W trakcie pracy zawodowej przepracował 43 lata bez jednego dnia chorobowego. Stanisława poznałam w 2003 roku, gdy pełnił funkcję sekretarza i kronikarza śremskiego chóru „Moniuszko”, a on był prezesem czempińskiego chóru „Harfa”. Ponieważ nasze chóry ze sobą współpracowały, spotykaliśmy się by ustalać terminy koncertów lub wymieniać się nutami itp. Pamiętam jak weszłam pierwszy raz do małego pomieszczenia, w którym przechowuje swoje skarby, to aż mnie zatkało. Zobaczyłam ogromną ilość przeróżnych pamiątek historycznych zbieranych przez lata. Zdecydowana większość dotyczy muzyki i śpiewu. A pośród nich on – poruszający się po swym królestwie z błyskiem w oku, starając się pokazać i objaśnić mi najcenniejsze eksponaty.

Urszula Ciesielska: Powiedz mi skąd takie zainteresowanie muzyką, odbiega to przecież od twego zawodu.

Stanisław Wiśniewski: Z muzyką jestem związany od dziecka. Ojciec potrafił grać na wielu instrumentach, mnie nauczył gry na harmonijce ustnej, brata na trąbce. W szkole miałem dobrego nauczyciela śpiewu. Będąc w wojsku, uczyłem żołnierzy śpiewać piosenki marszowe. W latach dziewięćdziesiątych zaczął się drugi etap muzykowania. Dyrygent chóru czempińskiego – Józef Maciejewski, namówił mnie do śpiewu w chórze i trwa to do dziś. Nie wyobrażam sobie życia bez muzyki.

U.C.: No tak, zaraz się na tobie poznali i obdarzyli odpowiedzialnymi funkcjami.

S.W.: Tak. Zostałem zastępcą prezesa, a od trzech kadencji jestem prezesem Towarzystwa Śpiewaczego Harfa w Czempiniu.

Stanisław nie poprzestał na pełnieniu funkcji prezesa. Odtworzył kroniki Towarzystwa od 1884 roku, dokumentuje też najnowszą historię „Harfy”. Ma wciąż nowe pomysły. Organizuje warsztaty szkoleniowe dla swych chórzystów nad morzem, w górach i innych ciekawych zakątkach naszego kraju, z jego inicjatywy odbywają się co roku „Spotkania Czterech Chórów” („Harfa” Czempin, „Św. Cecylii” Mosina, „Lutnia” Kościan, i „Moniuszko” Śrem). Żyje sprawami chóru i bardzo je przeżywa. Po każdym udanym koncercie dzwoni do mnie, by zdać dokładną relację i podzielić się sukcesem. W chórze śpiewa też żona Stanisława – Maria.

U.C.: Stanisław, twoje poznanie z Marią było nieco romantyczne. Może nam o tym opowiesz.



S.W.: Przyjechałem do Czempinia na urlop (byłem wtedy w wojsku), zobaczyłem ją na ulicy. Dowiedziałem się kim jest i czekałem na nią w sadzie, obok którego chodziła. Pożyczyłem jej książkę „Rodzina Połanieckich”. Wiadomo – główni bohaterowie to pan Stach i Marynia, a my Stanisław i Maria. Musiało coś z tego być! Nadal jesteśmy w tym sadzie, gdzie kupiliśmy działkę i zbudowaliśmy dom. Początki były trudne, ale daliśmy radę. Wychowaliśmy dwójkę dzieci, mamy trzy wnuczki, które też śpiewają.

U.C.: Ale wróćmy do twoich zbiorów. W budynku gospodarczym stworzyłeś izbę pamięci, właściwie małe muzeum, jakiego nie powstydziliby się niejedno miasto. Czy w Czempiniu nie ma miejsca, które byłoby odpowiednie dla zebranych przez ciebie pamiątek?

S.W.: Nie mamy ani muzeum ani żadnego innego miejsca, gdzie można z czystym sumieniem złożyć pamiątki. Czy urząd gdzieś zbiera choćby dane dotyczące tworzącej się teraz historii – nie wiem. Ja zbieram wszystko na co trafię, by ocalić, by nie przepadło, by i moje wnuczki mogły to oglądać. Łatwo się takie rzeczy traci i zazwyczaj

na zawsze... Przychodzą tu grupy przedszkolaków, by dotknąć pucharu lub statuetki, by obejrzeć stare, historyczne zdjęcia.

U.C.: Powiedz mi, czy wasze władze miejskie wiedzą o twoich zbiorach i dlaczego nie znajdują jakiegoś miejsca by je wyeksponować. Przecież twoje zbiory to też historia miasta.

S.W.: Z moimi zbiorami zapoznali się pracownicy urzędu poprzedniej kadencji jak i obecny burmistrz i pracownicy kultury, zastanawiając się jak to wyeksponować. Jest wielka nadzieja, ponieważ obecne władze wykupiły fabrykę tlenu w Czempiniu i tam mają być budowane pomieszczenia na tzw. izby muzealne. Zostaną tam zebrane wszystkie zbiory prywatnych kolekcjonerów, Towarzystwa Miłośników Ziemi Czempieńskiej i szkół.

U.C.: Twoje zbiory dotyczą historii chóru, jak i ziemi czempieńskiej. W jaki sposób to zdobywałeś?

S.W.: Ludzie mi przynoszą albo jeżdżą do osób, które „coś” mają. Rozmawiam. Czasami ludzie przekazują mi swoje pamiątki, a jeśli chcą sobie zachować oryginał, bo są to przecież skarby ro-



dzinne, to robię zdjęcie lub skan.

U.C.: Które z tych eksponatów uważasz za najcenniejsze?

S.W.: Za bardzo cenną uważam Odznakę Związku Kół Śpiewackich Polskich z 1900 roku, mam też bardzo cenne starodruki nut – Msze Responsoryjne, nuty pieśni rozpisane nawet na sześć głosów. Wielkim sentymentem darzę też Medal Pamiątkowy od Papieża Jana Pawła II z 1980 r.

Stanisław Wiśniewski opracował wiele publikacji dotyczących ruchu muzycznego i śpiewaczego na ziemi czempinińskiej m.in. *Amatorski ruch śpiewaczy muzyczny i teatralny Ziemi Czempinińskiej, 120-lecie Koła Śpiewackiego (1984), 100-lecie Towarzystwa Śpiewu (1909), Kroniki Ruchu Śpiewaczego w Czempiniu (1984-2015)* – IV tomy. Publikacje dotyczące ziemi czempinińskiej to: *Krajobraz z sacrum w tle, Czempień 2012, Prawdy i legendy z Czempinia i okolic, Czempień/Kościół 2013*. Publikacje dotyczące martyrologii mieszkańców ziemi czempinińskiej: *Cierpienie i pamięć, Drogi cierniem usłane, Wspomnienia z*

okresu okupacji. Pod koniec 2017 roku wydał książkę *Śladami naszej przeszłości*, a niebawem ukaże się najnowsza *Zorganizowany ruch muzyczno-śpiewaczy na ziemi czempinińskiej*. W swym archiwum posiada niezliczone ilości fotografii, kaset, płyt DVD i SD. Stanisław za swą działalność na rzecz kultury ziemi czempinińskiej został uhonorowany wieloma odznaczeniami i listami gratulacyjnymi: list gratulacyjny od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Odznaka Honorowa, Zasłużony dla kultury Polskiej – 2014, Medal „Za zasługi dla Ziemi Czempinińskiej” – 2016, Odznaka Honorowa PZHiO – 2014, wiele listów i pism gratulacyjnych m.in. od Stefana Stuligrosza, Marszałka Woj. Wielkopolskiego, arcybiskupa Stanisława Gądeckiego, od starostów i burmistrzów sąsiadujących powiatów.

U.C.: Kim jest Stanisław Wiśniewski?

S.W.: Jestem pasjonatem. Urodziłem się w Czempiniu, żonę mam z tej ziemi, tu są moje dzieci, tu moje wnuczki wzrastają. Tu jesteśmy zakorzenieni jak drzewa. To moja ziemia.

Dwa oblicza ilustracji

Gdzie pada jabłko? Niedaleko od jabłoni, na pierwszym piętrze Biblioteki Publicznej im. Heliodora Święcickiego. Wystawa Agnieszki i Anny Dzikowskich, matki i córki, to dwie różne opowieści oparte na dziedzicznej wrażliwości.

Agnieszka Dzikowska – malarka i rysowniczka, która szczególnie upodobała sobie pastele i w tej technice powstała większość jej prac. Na wystawie zaprezentowała studium mniszka lekarskiego w różnych fazach jego rozwoju.

Prace Pani Agnieszki charakteryzuje głęboka wnikliwość, znajomość budowy rośliny. Większość prac skupia się na fazie owocowania mniszka, kiedy to żółty kwiat zmienia się w popularnie zwany „dmuchawiec”. Prace te charakteryzują się stonowaną, chłodną kolorystyką, nieco melancholijną. Są delikatne, ulotne, jak sama technika, w której zostały wykonane. Dominują błękity, zielenie, szarości i biel owoców mniszka. Delikatność prac podkreślają mocne akcenty, wyraźnie oddzielone plany, które budują głębię obrazu. Większość mniszków utraciła już swe owoce, które rozwiął wiatr, głowa mnicha jest niemalże pozbawiona owoców z puszystymi piramidkami. Te obrazy wywołują u widza wrażenie ulotności, przemijania, są niezwykle refleksyjne, sprowadza pospolity kwiat do symbolicznej roli. Obcowanie z rośliną staje się bardzo bliskie i intymne. Prace te przywodzą na myśl ilustracje do baśni.

Kontrastowe do wyżej wspomnianych są pastele przedstawiające żółte kwiatostany mniszka, gdzie dominują zielenie, żółcie, pomarańcze, czerwienie, kolory nasycone i wyraziste. Dobór barw podkreśla moc kwitnięcia, rozwój kwiatu, nieco niepokojący, dziki, gwałtowny. Widać, że Pani Agnieszka nie boi się koloru, wie jak go dobrać, by podkreślić nie tylko samą budowę rośliny,

ale też klimat jaki temu towarzyszy – ciepło, wybujały rozwój natury, dziki w swych kolorach i nieokiełznany w rozwoju.

Prace Anny Dzikowskiej to zupełnie inna tematyka i stylistyka. Wykonane głównie ołówkiem i pisakami, czyli skupiające się na technikach rysunkowych, a nie malarskich. W pracach widać wielki potencjał i poszukiwania. Poszczególne rysunki są różne w swej stylistyce, widać mnogość inspiracji, głównie popkulturę. Wyraźne są inspiracje komiksami i postaciami z gier, książek. Na uwagę zasługują również postacie autorskie.



W zupełnym kontraście są trzy prace przedstawiające portrety kobiet. Rysunki zostały wykonane białą kredką na czarnym tle. Prace utrzymane są w stylistyce Art Nouveau. Bardzo dekoracyjne, witrażowe, wykonane z wielką dbałością o każdy szczegół, niemal ornamentalne, bardzo kobiece. Widać tu inspiracje Alfonsem Muchą i jego przedstawieniami postaci kobiecych. To prace bardziej dojrzałe, pokazujące zupełnie inne oblicze samej autorki, głębsze, historyczne poszukiwania, swego rodzaju budzącą się dojrzałość, ewolucję w kierunku innego poczucia estetyki. Zapewne wpływa to również na rozwój warsztatu i umiejętności. Prace wzbudzają podziw głównie swoją subtelnością, pięknem i głębokim skupieniem na formie i powtarzających się elementach i szczegółach. Wystawa Agnieszki i Anny Dzikowskich to bardzo przyjemna podróż po różnych rodzajach wrażliwości. Jeśli widz otworzy się na klimat i emocje, to może przenieść się na chwilę w ba-

śniowy świat różnych form artystycznych, których różnorodność dostarcza odmiennych wrażeń. Prace Pani Agnieszki to bardzo kobiecy i bujny obraz natury, natomiast z Panią Anną widz udaje się w świat artystycznych poszukiwań, dziecięcych jeszcze inspiracji, które ewoluują i odkrywają piękno kobiecej subtelności ubranej w ornamenty z bluszczu.

Wystawę można oglądać w Bibliotece Publicznej im. H. Święcickiego do końca marca.

Marta MOŚKOWIAK





Wieści z ratusza

KAMPANIA „ZACHOWAJ TRZEŻWY UMYŚL”

Gmina Śrem po raz dziewiąty włączyła się w ogólnopolską kampanię edukacyjno-profilaktyczną „Zachowaj Trzeźwy Umysł”. Hasło edycji kampanii w tym roku brzmi „Autoportret. Zadziewiam siebie, gdy siebie poznaję! – czyli o budowie własnej wartości”.

Cel kampanii to:

- propagowanie nowoczesnej profilaktyki uzależnień wśród dzieci i młodzieży ze szkół podstawowych i klas gimnazjalnych
- wspieranie budowy poczucia własnej wartości, nauka samooceny i doskonalenie umiejętności pozytywnego myślenia.
- wspieranie pozytywnych wyborów życiowych dzieci i młodzieży.
- ograniczenie podejmowania przez dzieci i młodzież zachowań ryzykownych.
- wspieranie działalności wychowawczej szkół i placówek oświatowych w zakresie nowoczesnej edukacji prozdrowotnej (alkohol, papierosy, dopalacze, nowe narkotyki).

Kampania rozpocznie się 1 kwietnia 2018 r. Dla uczniów zorganizowane zostaną zajęcia profilaktyczne oraz trzy konkursy, których hasła przewodnie to kolejno: „Autoportret”, „Napisz do nas list” oraz „My”.

ŚREMSKI PRZYJACIEL SENIORA – PODSUMOWANIE

30 stycznia br. w siedzibie Ośrodka Pomocy Społecznej odbyło się podsumowanie projektu Śremski Przyjaciel Seniora „Kawa i herbata za złotówkę”. Wspólnie z lokalnymi partnerami od 2010 r. zrealizowano działania, które były inno-

wacyjną formą spędzania czasu wolnego przez osoby po 60. roku życia. W ciągu siedmiu lat wydano ponad 3 000 imiennych kartek oraz podpisano porozumienia partnerskie z 23 lokalnymi działającymi na terenie Śremu.

Na spotkanie zostali zaproszeni przedstawiciele restauracji oraz kawiarni, którzy z rąk Marii Świdurskiej – kierownika OPS otrzymali podziękowania za współpracę. Naczelnik Pionu Edukacji i Usług Społecznych Barbara Jabłońska przybliżyła restauratorom zasady przystąpienia do programu Śremskiej Karty Seniora, w ramach której można zaoferować rabaty na oferowane towary i usługi.

ŚREM ANTYSMOGOWO

Polskie miasta – zarówno małe, jak i duże borykają się z problemem smogu, przede wszystkim w okresie zimowym, pomiędzy październikiem a lutym. Smog kojarzy się z przemysłem i komunikacją drogową, ale największymi trucicielami są gospodarstwa domowe, które stanowią ponad 80% ze wszystkich źródeł smogu.

Gmina Śrem prowadzi kampanię pod hasłem „ŚREM antYSMOGOWO”, której celem jest zwrócenie uwagi mieszkańców na problem smogu. Aż 88% zanieczyszczeń powietrza (wg wskaźnika PM10) pochodzi z ogrzewania domów. Od lat prowadzone są kampanie billboardowe dot. spalania śmieci („Kochaj dzieci, nie pal śmieci”) oraz wypalania traw. Aktualnie wdrażana jest nowa akcja informacyjno-edukacyjna „Śrem antYSMOGOWO”. W dzisiejszych czasach bardzo ważna jest informacja, dlatego pod adresem sremantysmogowo.pl powstał informator internetowy, gdzie można przeczytać o inicjatywach podejmowanych przez samorząd. Ponadto strażnicy miejscy kontrolują, czym

mieszkańcy palą w piecach. W 2017 roku sprawdzono 1019 nieruchomości na obszarze całej gminy. Strażnicy pouczają właścicieli nieruchomości oraz przekazują broszury informacyjne dotyczące właściwego palenia w piecach. Mieszkańcy są zachęceni do korzystania z ekologicznych środków transportu: roweru czy autobusów komunikacji miejskiej. Gmina udziela dotacji na wymianę systemów ogrzewania w domach. Od ubiegłego roku na wymianę pieca w domu można uzyskać 5 000 zł. Istnieje również możliwość pozyskania środków finansowych na montaż źródła wykorzystującego energię odnawialną np. kolektor słoneczny i pompę ciepła; mikroinstalację do produkcji energii elektrycznej oraz przydomową oczyszczalnię ścieków.

Od maja w całej Wielkopolsce będzie obowiązywał zakaz spalania w piecach paliw stałych najgorszej jakości, czyli bardzo drobnego miału lub węgla brunatnego. Również od tego czasu wszystkie nowo montowane w domach kotły będą musiały spełniać określone wymagania ekologiczne. Takie wytyczne zawierają uchwały antysmogowe, które przyjął Sejmik Województwa Wielkopolskiego w grudniu 2017 roku. Uchwały mają zapobiec negatywnemu oddziaływaniu spalania paliw stałych na zdrowie ludzi i środowisko oraz być jednym z podstawowych narzędzi do walki ze smogiem.

PODSUMOWANIE KONKURSU PUSZKOBRAJNIE

W dniu 6 lutego br. w siedzibie Urzędu Miejskiego w Śremie odbyło się uroczyste podsumowanie Gminnego Konkursu Ekologicznego PUSZKOBRAJNIE. Na spotkanie przybyły dzieci wraz z wychowawcami z placówek oświatowych z terenu gminy Śrem oraz Marek Miłowski z firmy EKO-PARTNER.

Do udziału w XVII edycji PUSZKOBRAJNIE zgłosiło się 20 placówek, łącznie – 4171 osób. Udało się zebrać 1578,9 kg puszek, czyli średnio 0,38 kg złomu/osobę.

I miejsce wywalczyli ubiegłorocznymi zwycięzcy - przedszkolaki z Niepublicznego Przedszkola „Leśna Polanka” w Mechlinie (4,04 kg puszek/osobę), II miejsce przypadło Środowiskowemu Domowi Samopomocy w Śremie (3,40 kg puszek/osobę), a III miejsce zajęły dzieci z Przedszkola Nr 7 „Janka Wędrownicza” (2,47 kg puszek/osobę). Laureaci konkursu otrzymali nagrody w postaci okolicznościowych czeków o wartości 1000 zł, 800 zł i 600 zł. Dodatkowe wyróżnienie i czek na 400 zł otrzymała Przedszkole Nr 2 „Słoneczna Gromada”. Dzieci z placówek biorących udział w konkursie otrzymały upominki – drewniane ołówki z wygrawerowanym logo akcji oraz dyplomy pamiątkowe.



ZAKTUALIZUJ DEKLARACJE PODATKOWE

Urząd Miejski w Śremie prowadzi kontrole w celu sprawdzenia zgodności danych wykazanych w deklaracjach podatkowych ze stanem faktycznym w gospodarstwach domowych oraz firmach. W przypadku wystąpienia rozbieżności Urząd Miejski w Śremie prowadzi postępowanie wyjaśniające. Weryfikacją zostaną objęte wszystkie złożone deklaracje podatkowe w zakresie opłat za gospodarowanie odpadami komunalnymi, podatku od nieruchomości, podatku rolnego i podatku leśnego. Nie czekaj na wezwanie urzędu i samodzielnie sprawdź oraz zaktualizuj deklarację podatkową.

Sześć sposobów ochrony przed zanieczyszczeniami powietrza

- 1 Sprawdzaj jakość powietrza na stronie internetowej Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska (www.poznan.wios.gov.pl).
- 2 Unikaj spacerów i uprawiania sportu przy ruchliwych ulicach.
- 3 Zaplanuj wolny czas tak, by spędzać go poza miastem, na łonie natury.
- 4 Zachęcaj dziecko do oddychania przez nos. To naturalny filtr powietrza.
- 5 Zadbaj o odpowiednią dietę, bogatą w kwasy omega-3, witaminy C i A. Chronią one przed szkodliwym działaniem zanieczyszczeń obecnych w powietrzu.
- 6 W dni, w które stężenia zanieczyszczeń powietrza przekraczają normę, ogranicz czas spędzany na zewnątrz i nie wietrz domu!



marzec | kwiecień 2018


MUZEUM
Ś R E M S K I E

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 61 2835938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl



Dyngusie

Zapraszamy na zajęcia, podczas których przybliżymy dzieciom zwyczaje wczesnowiosenne, a następnie wcielimy się w chodzących dawniej „po dyngusie”. Przebierzemy się za dziada, babę, diabła, chochoła, kominiarza lub niedźwiedzia i z przyśpiewką na ustach pójdziemy „odganiać zimę”.

Termin: 12-28 marca 2018 r. w godz. 8.00-15.00
Czas trwania zajęć: 1,5 godz. Koszt: 6 zł
Informacje i zapisy: tel. 61 28 35 938, 668 847 130
e-mail: muzeum@srem.pl


MUZEUM
Ś R E M S K I E

SPOTKANIE Z TRADYCYJNYM STROJEM REGIONU ŚREMSKIEGO

Zapraszamy uczniów
szkół podstawowych i średnich

Czas trwania - do 45 min., koszt - 4 zł od osoby
Informacje i rezerwacje: tel. 61 28 35 938, 533 875 030
Muzeum Śremskie, ul. A. Mickiewicza 89



Wystrojen



SPOTKANIA Z REGIONEM I GWARĄ

*Dbając o korzenie
wyrośniemy wyżej*

Zapraszamy uczniów
szkół podstawowych i średnich
Czas trwania - do 45 min., koszt - 4 zł od osoby
Informacje i rezerwacje: tel. 61 28 35 938, 533 875 030
Muzeum Śremskie, ul. A. Mickiewicza 89



MUZEUM ŚREMSKIE

marzec | kwiecień 2018

 śremski ośrodek kultury

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 77
tel: 61 2835904, fax: 61 2810081
www.sok-srem.pl
e-mail: biuro@sok-srem.pl

KONCERT JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI QUARTET

KINOTEATR
"SŁONKO"

Bilety 24



śremski
ośrodek
kultury

22.03
GODZ.:
19:00

BILETY: 40 ZŁ

ZAPISY I INFORMACJE W ŚOK LUB POD NR TEL.: 61 28 35 904

NAJBLIŻSZE WYJAZDY DO FILHARMONII POZNAŃSKIEJ ZE ŚREMSKIM OŚRODKIEM KULTURY



GŁOSY XXI WIEKU
20 kwietnia 2018 (piątek)

Bror Magnus TODENES - tenor
Łukasz BOROWICZ - dyrygent
Orkiestra Filharmonii Poznańskiej
Piotr Kamiński - prowadzenie koncertu

NASTROJE RÓŻNYCH EPOK

185 ROCZNICA URODZIN JOHANNESA BRAHMSA

11 maja 2018 (piątek)

Aleksandra KUBAS-KRUK - sopran, Łukasz BOROWICZ - dyrygent,
prowadzenie koncertu Orkiestra Filharmonii Poznańskiej



DLA DZIECI W KAŻDYM WIEKU

01 czerwca 2018 (piątek)

Jakub CHRENOWICZ - dyrygent
Orkiestra Filharmonii Poznańskiej

KOSZT: 30 zł (bilet i przejazd)

Zbiórka godz.: 17:10 Stary Targ

Liczba miejsc ograniczona

Rezerwacje w ŚOK lub pod nr. tel.: 61 28 35 904



FILHARMONIA
POZNAŃSKA



ŚREM
Śremski
Ośrodek
Kultury



Premiera w Słonku!

16 marca



Bilety



RYSUNEK MALARSTWO GRAFIKA

SZTUKA
WIDZIANA
NOWYM OKIEM



SOBOTY
godz.: 10.00 - 13.00

ŚREMSKI OŚRODEK KULTURY

prowadzący
mgr edukacji artystycznej
Damian Rojek



koszt: 30 zł/miesiąc

zajęcia dla młodzieży i dorosłych



KONCERT

TYMON TYMAŃSKI

ŚPIEWA

BEATLESÓW

26 KWIECIA

KINOTEATR "SŁONKO"

GODZ.: 19:00

BILETY: 30 ZŁ

Bilety

ZAPISY I INFORMACJE W ŚOK LUB POD NR TEL.: 61 28 35 904



Biblioteka

Publiczna im. H. Święckiego
w Śremie

63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 61 2835467, fax: 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl



26 MARCA 2018

g.17:30 i 20:00

spektakl
w BIBLIOTECE PUBLICZNEJ W ŚREMIE
ul. Grunwaldzka 10

REZERWACJA: tel. 533 454 400

Bilety: 30 zł

Izabela Noszczyk
Dariusz Taraszkiewicz



Scena Poczekalnia
premiera czerwiec 2007

**BIBLIOTEKA PUBLICZNA W ŚREMIE ZAPRASZA
NA**

**SPOTKANIE AUTORSKIE DLA MŁODZIEŻY
Z**

AGNIESZKĄ TYSZKĄ

**21.03.2018
GODZ. 12:00
(sala audiowizualna)**

INFORMACJA I ZAPISY: WYPOŻYCZALNIA DLA MŁODZIEŻY



KLUB ŁOWCÓW PRZYGÓD
zaprasza
na spotkanie dla młodzieży
z Janem Hyjkiem
pt.
Życie - przygoda?
9.03.2018, godz: 12:00




ul. Grunwaldzka 10 - sala audiowizualna

INFORMACJA I ZAPISY: WYPOŻYCZALNIA DLA MŁODZIEŻY

Biblioteka
Publiczna im. H. Święckiego
w Śremie

DKK
dyskusyjny klub książki



Biblioteka Publiczna w Śremie
zaprasza
na spotkanie z **WANDĄ SZYMANOWSKĄ**
6 kwietnia 2018, g.18:00










Tomasz Mazurczak Pałac w Brodnicy

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Damian Rojek – Paul Peel *The Bubble Boy*
I miejsce w konkursie Microsoft Polska
IV – dr Seweryn Matuszewski
fot. ze zbiorów Muzeum Śremskiego

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

DRUKARNIA TOMCZAK Ewa Osiewicz
tel. 61 2841208, www.drukarniasrem.pl

TU
jest,
TU
było,
TAK
się mówiło

MALINKA

Fabryka Maszyn i Wozów Stanisława Malinowskiego. Teren między torami kolejowymi i ulicami: Kolejową i Kilińskiego. Od 1969 roku filia Odlewni Żeliwa i warsztaty szkolne Zespołu Szkół Zawodowych. Obecnie Leclerc, stacja Paliw BP i bardzo niewielkie fragmenty zakładu.



Foto: zbiory Muzeum Śremskiego



Foto: Szymon Majewski

1918–2018

100. rocznica wybuchu
Powstania Wielkopolskiego

ŚREMSKI PANTEON NIEPODLEGŁOŚCI



Seweryn Matuszewski (1879–1939)

133

5 zł 00